

NR 31
styczeń / luty
2001

aleje 3

**DWUMIESIĘCZNIK
KULTURALNY
CZĘSTOCHOWY**

ISSN 1427-8812 CENA 1 ZŁ

W NUMERZE:

- * **Zdzisław
Beksiński**
- * **Collegium
Cantorum**
- * **Adela
Czaplanka**
- * **Janusz
Mielczarek**
- * **Tadeusz
Modrzejewski**
- * **Zofia Rydet**
- * **Anna
Ryś-Rzepińska**
- * **Stanisław
Tomczyński**



**Obraz Zdzisława
Beksińskiego.**
O wernisażu artysty
w Galerii Lonty Petry
piszemy na str. 42.



Fotografie Zofii Rydet
pochodzące z wystawy
pt. „Świat wyobraźni”.
Wystawa miała miejsce
w OPK GAUDE MATER
w listopadzie i grudniu 2000.

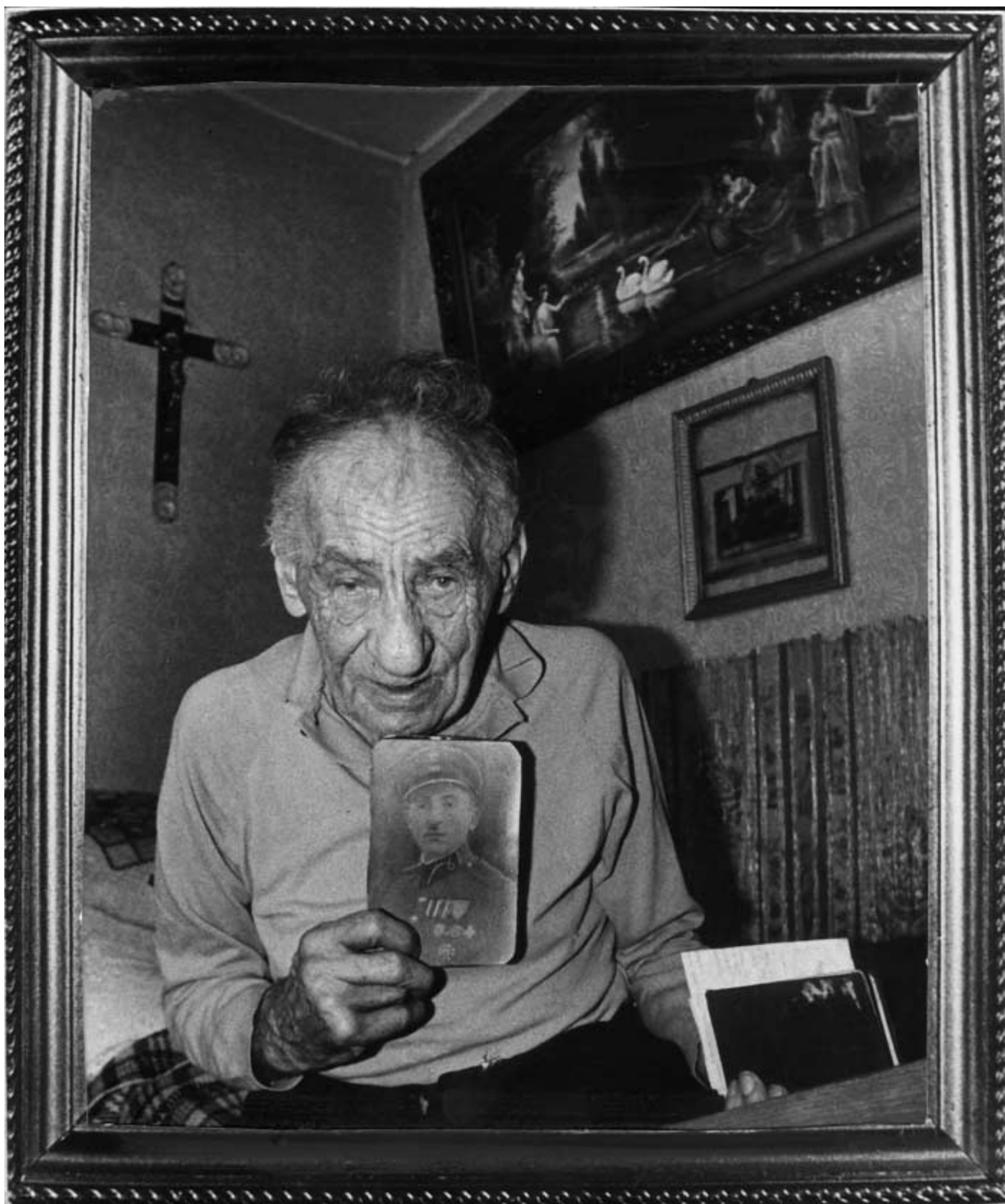
Z cyklu
„Świat uczuć i wyobraźni”
– „Zagłada”

Z cyklu „Zapis socjologiczny” – „Zawody”





Z cyklu „Świat uczuć i wyobraźni” – „Obsesja”



Z cyklu „Zapis socjologiczny” – „Mit fotografii”

| | |
|------------------------|-------|
| reportaż | 6 |
| muzyka | 9 |
| poezja | 14 |
| zapiski o świcie | 19 |
| proza | 21 |
| recenzja | 24 |
| esej literacki | 27 |
| dla nieprzystosowanych | 29 |
| z miasta | 30 |
| komiks | 31 |
| sztambuch teatralny | 32 |
| informator kulturalny | 34 |
| off Broadway | 36 |
| opinie | 38 |
| plastyka | 39 |
| fotografia | 43 |
| galeria | 44-48 |

aleje 3

DWUMIĘSIĘCZNIK KULTURALNY CZĘSTOCHOWY

Pismo finansowane przez
Urząd Miasta Częstochowy

WYDAWCA

Biblioteka Publiczna
im. dra Władysława Biegańskiego
w Częstochowie
al. NMP 22, 42-200 Częstochowa
kontakt: BOGDAN HENNIG

REDAKCJA

ul. Równoległa 63, 42-200 Częstochowa
tel. (034) 371 07 89
e-mail: aleje3@emedia.eisp.pl

Redaktor naczelny

KRYSTIAN PIWOWARSKI

Zespół redakcyjny:

SEAWOMIR BURSZEWSKI
ARKADIUSZ ZAJĄC

Redakcja tekstów i korekta

ANNA WOLAŃSKA

Redaktor techniczny

MAREK NIEDOSTATKIEWICZ

DTP

wydawnictwo
emedia

ul. Równoległa 63, 42-200 Częstochowa
tel. (034) 371 07 89

DRUK

DRUKARNIA **KEMOT**

Częstochowa, ul. Krakowska 45

Projekt okładki, layout i opracowanie graficzne

MAREK NIEDOSTATKIEWICZ
ARKADIUSZ ZAJĄC

Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów i opracowania redakcyjnego materiałów przyjętych do druku.

NA OSTATNIM KONGRESIE KULTURY POLSKIEJ premier Buzek wyraził m.in. żal, że w polskiej sztuce mało jest dumy z tego, czego przez ostatnie dziesięć lat dokonaliśmy. Są tylko narzekania, krytyka, lamentowanie, epatowanie czarnymi stronami życia i groteska. A przecież Polska zmieniła się i jest innym krajem (pytanie: czy lepszym?), co zgodnie podkreślają emigranci powracający po latach do ojczyzny. I w pewnym sensie ma rację, gdyż powstaje niewiele dzieł sztuki chwalebnych dokonania państw lub narodów. Nie wiem czy gdziekolwiek taka sztuka powstaje. Wręcz odwrotnie: dawne państwa kolonialne przepraszają przedstawicieli rdzennej ludności za „odkrycie” ich łądów. Przepraszam – na Kubie, w Korei i Chinach coś by się jeszcze znalazło. Sztuka walcząca spełniła swoją rolę i odeszła do muzeum, tak jak pamiątkowe gadżety po PRL. Czy nowa sztuka ma zatem pokazywać jak wступujemy do NATO i EWG, jak podnosimy stopę gospodarczą, zmniejszamy inflację i dobrze planujemy budżet na kolejny rok? A może posłów i radnych w pocie czoła przygotowujących nowe ustawy i uchwały? Toż to byłby istny socrealizm! Nie wracajmy do ślepej komórki, z której niegdyś wyszliśmy. Istotą sztuki jest to, że wyraża wolność twórcy autora. Podporządkowywanie jej jakimś celom nazywa się propagandą (sukcesu?). Och, co za nonsens...

Z ostatnich propozycji programowych bardziej do gustu trafiły mi słowa papieża, który rok temu nakłaniał artystów do pokazywania piękna, miłości, dobra, do kształtowania pozytywnych postaw, poszukiwania harmonii i sensu bytu, świata. Gdyby jednak trzymać się tych szczytnych tez w praktyce, podziwialibyśmy dzieła jednostronne, nie ukazujące całej prawdy o współczesnym świecie, takie pomniki przymykające oczy na biedę i cierpienie ludności świata. Budowalibyśmy sztuczne raje i żyli w błogiej nieświadomości bez poczucia nerwu zmieniającej wszystko historii. Wydaje mi się, że istotą sztuki jest pokazywanie obu stron medalu, a także wstążeczki, na której jest przyczepiony. Gdyby z baśni obciąć „szczęśliwe zakończenie”, byłyby to mroczne historie o fatalnym losie i upadku człowieka. Mnie wystarczy jeżeli sztuka nie będzie okłamywać, bo tego nie znoszę. Chociaż rozumiem niepokój mężów stanu i głów kościoła o negatywny wpływ kultury masowej, bo moda na brutalność i masakrę w mediach nadal trwa. Turpizm i kicz są w cenie i ostatnie lata dały tego szczególnie dowód.

Skończyły się lata 90-te. Wspaniałe? Myślę że tak. Dawno nie było takiego fermentu i ożywienia w każdej dziedzinie

sztuki, jak teraz. Lata 80-te są kojarzone jako czas zastoju i marazmu, zaś następną dekadą jako ich całkowite przeciwieństwo. Spójrzmy na kino: w starej Europie tworzy kilku wybitnych reżyserów – Almodovar, von Trier, Kusturica, Michałkow. Ameryka ma swojego Lyncha, Formana, Jarmuscha. Dużo jest kina moralnego i egzystencjalnego niepokoju. Poszukują również Azjaci – Japończycy, Irańczycy, mieszkańcy Hong Kongu. W Polsce też kręci się więcej niż kiedyś, choć ambitniejsze rzeczy tworzą tylko Stuhr, Żuławski, Krauze i częstochowianin Wylęzałek. Był też Oskar dla Wajdy. Z literaturą też jest nie gorzej: mamy kilkunastu uznanych, topowych pisarzy, których książki rozchodzą się w bardzo dużych nakładach (Łysiak, Sapkowski, Chmielewska, Kapuściński, Miłosz, Pilch, Szymborska). Jest też kilka nowych twarzy, które zostaną przy piórze na pewno dłużej (Stasiuk, Tokarczuk, Gretkowska, Dunin, Wiedemann, Siemion, Świetlicki, Podsiadło). Świat konkursów i turniejów nieźle się kręci. W Częstochowie także ukazało się kilkanaście książek np. Kalinina, Gaińskiego, Jeziorowskiej, Tarnowskiego, Kasprzyka, Grzegorzewskiej, Gierymskiego, Rosiek, Burszewskiego, Piekarskiego, Sidorkiewicza, Wrońskiego, Frani itd. Przez dziesięć lat stale ukazywało się pismo artystyczne (najpierw „Mini Galeria”, później „Aleje-3”).

A muzyka? Trudno zliczyć ilość trendów, jakie się narodziły przez te lata. Po modach grunge, house, rapu, techno mamy eksplozję hip-hopu, dla którego Częstochowa jest bardzo ważnym i silnym ośrodkiem (działają grupy „Ideo”, „1000”). Trudno nie wymienić królów muzyki pop – „Formacji Nieżywych Shabuff”, „Furmanki”, nadaktywnych braci Pospieszalskich, Yaninę-Iwańskiego, Soykę, Gralaka, reggae'owego „Habakuka”, metalowego „Mordora” itp. O częstochowskich emigrantach też ciągle głośno (Staszczuk, Kmita, Marjańska). Znaczenia częstochowskiego malarstwa, fotografii i rzeźby nie trzeba nikomu tłumaczyć. Mamy swojego Dudę-Gracza, Sętowskiego, Lubaszkę, Pałuchę, Dhubaka, Wypycha, Chrzastka, Osadczego i szereg innych znanych i wybitnych postaci. Nie wspominam o festiwalach i inicjatywach teatralnych (np. „WIFI”). Z tej krótkiej wycieczki wynika, że nie byliśmy miastem martwym, imprez kulturalnych było w nadmiarze, problemem mógł być przesytny i wybór. Osobiście czuję pewną dumę, że tyle się działo. Wyprawę sztuki „fin de sieclu” zostawiłbym szczegółowym analizom krytyków i naukowców. Nie jest to zadanie dla polityków, bo taki melanz nigdy nie wychodził światu na dobre. □

Slawomir Burszewski

STRAŻNIK REYMONTOWSKIEJ SŁAWY

Andrzej Kalinin

Na początku ubiegłego roku Sejm Rzeczypospolitej Polskiej podjął jednogłośnie następującą uchwałę: „W 75-tą rocznicę śmierci Władysława Stanisława Reymonta, oddając hołd i szacunek wybitnemu Polakowi i wielkiemu pisarzowi, pierwszemu w Niepodległej Polsce laureatowi literackiej Nagrody Nobla, ogłasza się rok 2000, Rokiem Reymontowskim”.

W kilka dni potem ta ważna dla kultury polskiej decyzja zaczęła się przeistaczać w konkretne działania. Z inicjatywy powołanego w tym celu Komitetu Organizacyjnego, w skład którego weszło wielu wybitnych polskich artystów i twórców kultury, powstał bogaty kalendarz imprez jubileuszowych. Rozpoczął go uroczysty koncert galowy na Zamku Królewskim w Warszawie z udziałem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Aleksandra Kwaśniewskiego, który przyjął honorowy patronat nad jubileuszem. Jednocześnie w wielu miastach w kraju organizowane są wystawy tematyczne poświęcone osobie pisarza i jego dziełom.

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza wraz z Fundacją Edukacji i Kultury Narodowej „Siejba” szykuje monumentalne, jubileuszowe wydanie „Chłopów” w układzie autorskim, to jest w czterech tomach, dla każdej pory roku osobno. Wiosna, lato, jesień, zima. Bez wątplenia będzie to edycja bogata i piękna.

Czy jednak piękniejsza niż ta z Bielska, jaką z potrzeby serca tworzy pan Tadeusz Modrzejewski. Wszystko wykonywane tu jest ręcznie z misternie wykaligrafowanym każdym słowem i po staroświecku przepisywane piórem maczanym w kałamarzu z atramentem. Każdą stronę zdobią odpowiednie do treści rysunki, a oprawę tej niezwyklej książki wieńczą specjalnie rzeźbione, drewniane okładki.

Jedź, a będziesz urzeczony prawdziwą sztuką

Tak zachęcała mnie pani Zofia Choma, znawczy- ni rzeczy pięknych i wielka admiratorka twórczości artysty. Bo nikt bardziej niż on, nie kocha Reymonta – dodaje jeszcze na koniec. Więc jadę. Stara Kamienica przy ulicy Pankiewicza w Bielsku Białej. Ostry podjazd pod górę wyłożony kocimi łbami. Nawet samochód czuje się zmęczony taką wspinaczką.

– Jest sporo analogii – myślę – między tym podjazdem, a trudem z jakim pan Tadeusz Modrzejewski przysposabiał tę zrujnowaną kamienicę do swoich marzeń. Czynił to uparcie, przez lata całe, własnym sumptem i własnymi rękoma,

nim na ścianie obok wejścia zawisła wyrzeźbiona w drewnie tablica informacyjna:

„Muzeum Literatury imienia Władysława Stanisława Reymonta”.

Dalej zaś, tuż za progiem, zaczyna się już inny świat, niezwykle w swojej baśniowości, pełen reymontowskich postaci, pór roku, Jagny, Antka i Boryny, ziem kiedyś obiecanych, Lipiec Reymontowskich z okolicami, a wszystko to pięknie ze smakiem i znanstwem zaaranżowane, skomponowane i wykonane osobiście przez pana Tadeusza. Ogląda się to wszystko w zachwycie. Jesteśmy nagle przeniesieni w inny, niedzisiejszy

wymiar czasu i estetyki twórczej, zrodzonej jedynie z talentu i serca. Wnętrze tego domu-muzeum pełne jest takich właśnie dzieł, obrazów i rzeźb, wykonanych osobiście przez artystę, ale i ozdobnych mebli z reymontowskich czasów również.

Urzekają szczególnie obrazy, na których artysta ma zwyczaj malować swoje sny.

Ze snów bowiem i naturalnych ludzkich marzeń o lepszym i pięknym świecie powstało to niezwykle muzeum.

Skryba

– Ale dlaczego akurat Reymont? – pytam pana Tadeusza Modrzejewskiego.

– Bo wszystko, co jest związane z Jego życiem i twórczością jest piękne, zrozumiałe, a przede wszystkim nasze, polskie, rodzime – słyszę w odpowiedzi. – W dodatku, wie pan, łączy mnie z Reymontem wiele cech wspólnych. O, choćby znak zodiaku, wyuczony zawód, liczba rodzeństwa, a nawet niektóre dolegliwości i to natury niekoniecznie fizycznej. Nie wiem, może właśnie dlatego żyję Jego życiem?

Kiwam głową, ze rozumiem, bo w takim przedziwnym muzeum jak to, wszystko jest trochę z innego świata i trochę odrealnione. Mój rozmówca również.

Od prawie dwadziestu lat, kiedy postanowił zrealizować swoje artystyczne pasje związane z życiem i twórczością Władysława Reymonta, wie dzie życie prawie pustelnicze. – Lubię je – mówi. Już w dzieciństwie marzył, żeby zostać mnichem, takim pracującym w skryptorium. Mnichem nie jest, ale skrybą został. Od lat bowiem, ręcznie i z uporem wręcz benedyktyńskim, przepisuje książki na duże, brystolowe arkusze, oprawia je potem w drewniane okładki i przyozdabia ilustracjami. Tworzy w ten sposób dzieła, dzisiaj już unikalne i niepowtarzalne w swoim rodzaju. Wykonał ich w ten sposób ponad 90, ale marzy mu się setka. Obecnie pracuje nad pierwszym tomem „Fermentów” swojego, oczywiście, ukochanego Władysława Stanisława Reymonta.

Swoją żonę i dzieci mieszkających w bloku na jednym z bielskich osiedli, odwiedza tylko raz w tygodniu, żeby zjeść z nimi niedzielny obiad, zostawić do prania pościel i bieliznę, a w zimie, aby się ogrzać przy ciepłym piecu.

W jego muzeum jest zimno. W zimie, na przykład, panują tu permanentnie temperatury

ujemne. Pan Tadeusz, gdy przepisuje swoje książki, grzeje ręce nad lampą naftową. Elekrownia bowiem systematycznie odcinała mu prąd za niepłacenie rachunków. Żadne prośby, że zapłaci, gdy uciła trochę forsy ani argumenty o społecznej i edukacyjnej roli jego reymontowskiego muzeum, nie pomagają. Pan Modrzejewski wpadł więc na pewien, moim zdaniem, znakomity pomysł. Na wewnętrznej stronie drzwiczek do licznika kilowatów umieścił lusterko. Elektryk, który miał odciąć prąd zobaczył w nim nagle swoją twarz, a pod nią napis: „Spójrz sobie w oczy. Po tym co tu widziałeś nie odetniesz chyba światła!”

I o dziwo, nie odcięli. Mało. Jeszcze tego samego dnia poszli do swojego dyrektora orędownać w sprawie właściciela muzeum. Musieli dobrze argumentować, skoro dyrektor przychylił się do ich prośby.

Teraz panu Tadeuszowi nikt już nie odcina prądu. Oczywiście płaci rachunki, bywa że nawet z opóźnieniem, ale światło ma zawsze. Bo szlachetne pasje, innym ludziom również przydają szlachetności.



Tadeusz Modrzejewski
ciepliwie przepisuje
książki Reymonta

Muzeum marzeń

W utrzymaniu reymontowskiego muzeum nikt Tadeuszowi Modrzejewskiemu nie pomaga ani magistrat, ani żadna inna instytucja. Pracownica Urzędu Miejskiego w Bielsku Białej ka-zała mu nawet „zając się wreszcie uczciwą robotą”, jakby to, co robi nie przynosiło miastu splendorów.

Pan Tadeusz był jednak uparty. Nachodził ciągle urzędników, przekonywał, argumentował, mówił, że jego zbiory wzbogacą miasto, bo przecież do grobu ich ze sobą nie zabierze. Szczęśliwie, jego działania, gremialnie prawie, wspiera-
li dziennikarze i to zarówno ci z Bielska jak i z całego kraju. Pod ich to presją Rada Miasta postanowiła tak zadziałać, żeby problem Modrzejewskiego i jego dziwaczego muzeum raz na zawsze mieć z głowy. Na odczepnego więc przydzielili panu Tadeuszowi starą, zrujnowaną, przeznaczoną do rozbiórki kamienicę przy ulicy Pankiewicza.

– Odechce mu się, jak tylko ją zobaczy – żartowali sobie w magistracie. – A nam pewnie na zawsze da już spokój.

Nie docenili jednak pasji pana Modrzejewskiego. Dom rzeczywiście był w okropnym stanie. Nawet życzliwi panu Tadeuszowi ludzie pu-

kali się w głowę, widząc go z łopata i kilofem na tym rumowisku. – Tu trzeba milionów – mówili – żeby mogło z tego coś powstać. A jednak z czasem znaleźli się ludzie podobni wyobraźni. Szlachetne bowiem pasje zawsze znajdują szlachetne dusze. Dyrektor fabryki, w której kiedyś pracował nasz pasjonat, dał na początek samochód-wywrotkę. Pan Tadeusz łopata ładował na nią gruz. Nim oczyścił teren wywiózł w ten sposób w sumie ponad 170 pełnych wywrotek. Potem sam tynkował ściany, murował, łątał, naprawiał, otrzymaną w prezencie smołą smarował dach, chodził po budowach w mieście i zabierał wyrzucone tam odpady materiałów. Wszystko przecież na jego budowie mogło się przydać. Gdy po paru latach takiej harówki dom był wreszcie gotowy, zjawili się urzędnicy, żeby przyjąć go pod swój zarząd. W zamian za wykonany remont jedynie na jeden rok zwolniono go z czynszu. Żeby jakoś związać koniec z końcem, pan Tadeusz przez całe lato wynajmował się do różnych prac na prywatnych budowach, mieszał zaprawę, nosił cegły, żeby chociaż w części pokryć rachunki związane z utrzymaniem swojego muzeum. Bywało też, że siedział tu o głodzie i chłodzie, ale nigdy, nawet na moment, nie przychodziło mu do głowy, żeby rzucić to wszystko i wrócić w rodzinne pielesze, gdzie żona-nauczycielka jakoś sobie radzi bez męża, niepoprawnego pasjonata reymontowskich czasów.

A jemu jest coraz trudniej. Zwłaszcza, że swoje muzeum musiał zarejestrować jako działalność gospodarczą. Musi płacić w związku z tym obowiązujące podatki i comiesięczny haracz nadmiernego ubezpieczenia w ZUS-ie. Datki, jakie zostawiają turyści są oczywiście niewielkie, symboliczne i w małym tylko stopniu pomagają w kosztach. Bywa często, że wystarczą ledwie na kilka bułek i mleko, stanowiące nieraz jedyny w ciągu dnia posiłek artysty.

Zdesperowany ciągłymi kłopotami z utrzymaniem swojego muzeum, napisał kiedyś i wysłał do różnych władz, firm i instytucji ponad 850 listów z prośbą o sponsoring. Nie odpowiedział prawie nikt.

Wydaje się więc, że jedynym rozwiązaniem wszystkich problemów pana Modrzejewskiego może być modna obecnie sprzedaż, przynajmniej niektórych dzieł sztuki zgromadzonych w jego reymontowskim muzeum. Ale o tym artysta słyszeć nawet nie chce.

– Bo było by to tak, jakbym swoje dzieci oddał w obce ręce. ■



Collegium Cantorum

Agnieszka Olszańska – Chór Politechniki Częstochowskiej ostatnio odbył tournée po Stanach Zjednoczonych. Chciałabym się dowiedzieć jakie są Pana wrażenia z podróży.

Janusz Siadlak – Podróż trwała dwa tygodnie. Statystycznie rzecz biorąc odbyło się dwanaście koncertów w kilku interesujących miejscach. Pojechalibyśmy z naczelnym hasłem promocji nowej płyty „Memento mei, Domine”*. Oczywiście w repertuarze koncertów były nie tylko utwory z tej płyty, ale również z wcześniejszej – „Ain't the good news”. Promocja nowej płyty nie była jedynym powodem dla którego pojechalibyśmy na występy do Stanów Zjednoczonych. Naszym zamiarem była budowa wizerunku chóru, co nam się udało, ponieważ koncerty były bardzo ciepło przyjmowane. Wiele rozmów, które przeprowadziliśmy już po występach, pozwalają nam przypuszczać, że w niedalekiej przyszłości będziemy koncertować tam ponownie. Ogólnie rzecz biorąc jest to wyjazd bardzo udany, zarówno pod względem artystycznym jak i impresaryjnym.

A.O. – Jeżeli Pan pozwoli, chciałabym wrócić do początków zespołu. Skąd pomysł na utworzenie chóru na Politechnice Częstochowskiej?

J.S. – Początkowo chór nie miał swojego mecenasa, istniał bez patronatu. Później przez kilka lat byliśmy pod skrzydłami Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Natomiast od początku 1996 roku patronuje nam Politechnika Częstochowska i tutaj mocno osadziliśmy

swoje korzenie. Generalnie nie ma znaczenia czy działamy pod patronatem Politechniki, czy WSP. Najważniejsza jest studencka aktywność, która w pewnym sensie wykracza poziomem ponad studenckie śpiewanie. Wydaje mi się, że właśnie młodzież w tym wieku, posiada bardzo dużo niewykorzystanej aktywności. Czy to będzie student Politechniki, Akademii Medycznej, bądź innej uczelni to nie ma większego znaczenia. Każdy z nich może wykonywać ten zawód.

A.O. – Domyślam się, że te osoby, które dostają się w szeregi zespołu nie mają wcześniejszego przygotowania muzycznego. W jaki sposób więc poznają podstawowe wiadomości z zakresu muzyki?

J.S. – Cała praca artystyczna spoczywa na moich barkach. Zdecydowana większość faktycznie nie ma przygotowania muzycznego, ale po kilku latach efekty naszej wspólnej pracy są już widoczne.

Festiwal Muzyki Cerkiewnej –
Hajnówka 2000



* Płyta CD i kasetą wydana dzięki pomocy finansowej m.in. firm: Yawal i Optimus Bis.

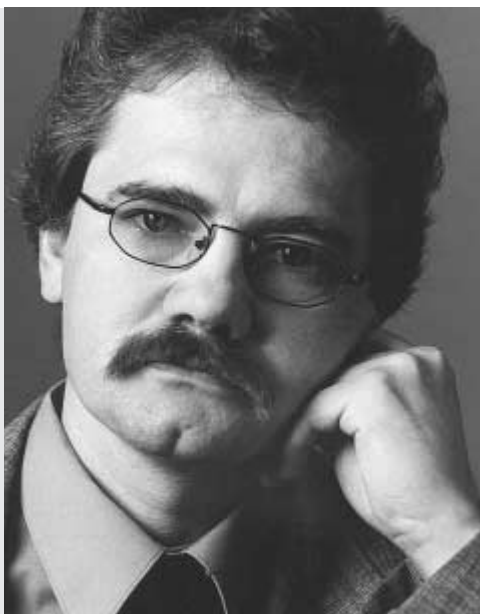
„Collegium Cantorum” – Chór Akademicki Politechniki Częstochowskiej powstał w roku 1987 z inicjatywy dyrygenta Janusza Siadlaka. Jest on absolwentem Wychowania Muzycznego Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie oraz Podyplomowego Studium Chórmistrzowskiego Akademii Muzycznej w Bydgoszczy, które ukończył z wyróżnieniem.

W roku 1995 w ramach Przeglądu Zespołów Chóralnych w Częstochowie Janusz Siadlak został wyróżniony nagrodą dla „Najlepszego Dyrygenta”. W roku 1997 zdobył wyróżnienie dla „Najlepszego Dyrygenta” na Festiwalu Muzyki Religijnej w Rumii. W roku 1998 został wyróżniony nagrodą wojewody za całokształt pracy artystycznej, a w sierpniu roku 2000 nagrodą prezydenta miasta Częstochowy za wybitne osiągnięcia w dziedzinie muzyki.

„Collegium Cantorum” koncertowało w wielu miastach Polski i niemal we wszystkich krajach Europy oraz w Azji, odnosząc wszędzie duże sukcesy.

Ostatnio, w roku 1999, chór zdobył trzecie miejsce na Międzynarodowym Festiwalu Chóralnym w Cantonigros, wziął udział w Festiwalu Muzyki Polifonicznej w Fano, zdobył Grand Prix na Festiwalu Chóralnym w Łodzi oraz najwyższą nagrodę na konkursie w Częstochowie.

W kwietniu roku 2000 zespół zdobył Główną Nagrodę na Ogólnopolskim Konkursie im. G.G. Gorczyckiego, w maju pierwsze miejsce na Międzynarodowym Festiwalu Muzyki Cerkiewnej w Hajnówce. W listopadzie roku 2000 „Collegium Cantorum” odbyło tournée po Stanach Zjednoczonych.



A.O. – Jak często odbywają się próby chóru?

J.S. – Zazwyczaj próby są dwa razy w tygodniu po trzy godziny. Do tego dochodzą czasem próby sekcyjne i indywidualne. Wszystko składa się na ogromną pracę. Zasady funkcjonowania chóru są oparte na wzorcach zespołów zawodowych.

A.O. – Czy jest takie wydarzenie, które uważa Pan za największe osiągnięcie artystyczne?

J.S. – Myślę, że jedno z największych to sukces w Hajnówce. Jest to Festiwal Muzyki Cerkiewnej, a trzeba zaznaczyć, że rywalizowaliśmy z zespołami ze Wschodu, tak więc było to bardzo trudne. Po naszym występie konkursowym dostaliśmy niezwykle pochlebne opinie. Można tu też wymienić udział w Międzynarodowym Festiwalu Muzyki Polifonicznej w Fano, we Włoszech. Rokrocznie zapraszanych jest tam pięć zespołów zawodowych m.in. udział w tym festiwalu wziął słynny oktet wokalny z Anglii „The Swingle Singers”, który jest utrzymany na bardzo wysokim poziomie. Samo zaproszenie jest dla nas wielką nobilitacją. Nasz chór był trzecim zespołem z Polski, który do tej pory brał udział w tym konkursie, dlatego jest to dla nas bardzo duże wyróżnienie.

A.O. – Czy myślał Pan o napisaniu własnej kompozycji dla chóru?

J.S. – Sądzę, że taka kompozycja powstanie. Mogę powiedzieć, że myślę o tym w zaawansowanym stopniu. Obecnie chór wykonuje aranżacje mojego brata, dyrygenta-symfonika. Przygotował on opracowanie utworów Beatlesów na ostatnie Akademickie Spotkania Muzyczne.

A.O. – Nawiązując do ostatniej płyty „Memento mei, Domine”, czy był jakiś cel w tym, żeby zestawzić muzykę katolicką i cerkiewną. Czy może ma ona wymiar ekumeniczny?

J.S. – Płyta może być tak odbierana. Bardzo bym się cieszył, gdyby tak było. Miała ona mieć charakter sakralny. Jednak gdyby na płycie znajdowała się tylko muzyka katolicka, nie byłaby ona urozmaicona, słuchałoby się jej znacznie gorzej, a tak zmęczenie jest złamane przez dodanie muzyki cerkiewnej.

A.O. – Wiem, że został już nagrany materiał dźwiękowy na nową płytę. Kiedy możemy się spodziewać jej wydania?

J.S. – Materiał dźwiękowy jest nagrany, ale jeszcze nie w całości. Natomiast wydanie płyty jest zależne od dwóch czynników: siły artystycznej zespołu w danym momencie i od finansów. Oczywiście im zespół lepiej funkcjonuje, tym więcej nagrywa, żeby proponować słuchaczom nową muzykę. Na pewno nie będziemy czekać na nową płytę kilka lat, ale czy to nastąpi to za rok, dwa, nie wiem. Chciałbym, żeby to się stało jak najszybciej.

A.O. – Czy przewiduje Pan nagranie płyty z muzyką Beatlesów?

J.S. – Bardzo chcę. Wymaga to jednak dużych nakładów finansowych. Dlaczego? Ponieważ niemożliwe jest nagranie takiej płyty w jednym studio nagrań, ale w kilku, co jest bezpośrednio związane z kosztami. Gdybyśmy tylko znaleźli sponsorów na pewno zrealizowalibyśmy ten projekt, ponieważ aranżacje są bardzo ciekawe i wydaje mi się, że warto w to przedsięwzięcie zainwestować.

A.O. – Dziękuję za rozmowę i życzę Panu i chórowi realizacji tego i innych planów oraz wszystkiego co najlepsze w nadchodzącym tysiącleciu. ■

Jubileusz Profesora

Agnieszka Sanecka

PIANISTA, PEDAGOG, KOMPOZYTOR, człowiek wielkiego serca – Stanisław Tomczyński świętuje jubileusz 45-lecia pracy artystycznej i pedagogicznej.

Gry na fortepianie zaczął uczyć się w wieku dziesięciu lat – jak sam wspomina – powodowany perspektywą sprzedania pianina przez rodziców i zazdrością, że syn sąsiadów już gra. Początkowo lekcji udzielał mu ojciec, Waclaw, muzyk-amator, pracujący jako urzędnik w cukrowni. Podczas okupacji kontynuował naukę u różnych nauczycieli, m.in. u Ireny Jahnke – dyrektorki przedwojennego Konserwatorium w Bydgoszczy – wysiedlonej wraz z mężem, wybitnym skrzypkiem Zdzisławem Jahnke, z Poznania do Ostrowca Świętokrzyskiego i sąsiednich Częstocic, gdzie wówczas mieszkała rodzina Tomczyńskich. To właśnie Irena Jahnke przedstawiła czternastoletniego wtedy Stasia wybitnemu kompozytorowi Stanisławowi Wiechowiczowi. Pamiętna konsultacja, której udzielił profesor młodemu adeptowi sztuki pianistycznej, dotyczyła również jego pierwszych prób kompozytorskich.

Po wyzwoleniu, w styczniu roku 1945, szesnastoletni Stanisław rozpoczął regularną naukę – najpierw w Gimnazjum im. Stanisława Staszica w Ostrowcu Świętokrzyskim, następnie w Katowicach w Państwowym Liceum Muzycznym, a po maturze – w Wyższej Szkole Muzycznej, w klasie fortepianu prof. Stefanii Allinówny. Zainteresowania kompozytorskie skłoniły go do podjęcia dodatkowych studiów w zakresie harmonii i kontrapunktu u prof. Adama Mitschy i prof. Jana Gawlasa. Dyplom z odznaczeniem w zakresie gry na fortepianie, który otrzymał w roku 1953, był tylko jednym z etapów jego artystycznej drogi. Później wielokrotnie brał udział w kursach pedagogicznych i mistrzowskich w Szczecinie,

Warszawie, Dusznikach, Pradze i Weimarze, pracując z pianistami tej miary co Zbigniew Drzewiecki, Jan Ekier, Bolesław Woytowicz, Ivan Moravec, Franciszek Rauch, Rudolf Kerer, Wiktor Mierżanow, Ryszard Bakst i Zbigniew Śliwiński. Gruntowne wykształcenie zaowocowało wkrótce intensywną działalnością artystyczną. Stanisław Tomczyński koncertował jako solista i kameralista w wielu miastach Polski, a także w Czechosłowacji. Brał udział w audycjach radiowych i telewizyjnych transmitowanych na żywo oraz dokonywał nagrań archiwalnych. Wciąż wiele komponował, choć – mimo zainteresowań w tym kierunku, a także zachęty i dopingu ze strony profesorów i kolegów – nie ukończył uczelnianej sekcji kompozycji, bo – jak sam wspomina – nie odpowiadał mu „pręgieryz” ówczesnej mody. Postanowił stworzyć zgodnie z własnym poczuciem estetyki i warsztatu. Dziś posiada poważny dorobek kompozytorski, na który składają się głównie utwory fortepianowe (35 sonat, Koncert fortepianowy na tematy retro, preludia, etiudy, ballada, legenda, mazurki, walce), także utwory na orkiestrę (w tym instrumentacje i transkrypcje dzieł innych kompozytorów), pieśni, kołedy (do tekstów różnych autorów), utwory na skrzypce, wiolonczelę i na instrumenty dęte.

Pracę pedagogiczną Profesor rozpoczął już w roku 1948 w Państwowej Szkole Muzycznej w Chorzowie. Był współorganizatorem oraz pierwszym dyrektorem Społecznego Ogniska Muzycznego w Katowicach – Ligocie. Przez krótki czas pracował również w Państwowej Szkole Muzycznej Stopnia Podstawowego i Licealnego w Bytomiu. Od roku 1960 jest nauczycielem Zespołu Szkół Muzycznych w Częstochowie. Wykształcił wielu absolwentów w szkole muzycznej I i II stopnia. Dał się poznać jako nieoceniony i znakomity akompaniator, za-

wsze świetnie przygotowany, z pasją i zaangażowaniem oddający się pracy z młodzieżą. Za swoją pracę wielokrotnie odznaczony: Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Odznaką „Zasłużony Działacz Kultury” (dwukrotnie), Brązową Odznaką „Zasłużony Dla Rozwoju Województwa Częstochowskiego”. Chętnie angażował się w działalność różnych stowarzyszeń m.in. Towarzystwa im. F. Chopina, Częstochowskiego Towarzystwa Muzycznego, Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków i innych.

Stanisław Tomczyński próbował swoich sił także w innych dziedzinach. Przez kilka lat uczył się śpiewu solowego, najpierw u Edwarda Mąkoszy, a następnie u Anny Porwik-Pniok. Jeszcze w czasie studiów interesował się etnografią – zbierał i opracowywał melodie ludowe z Podhala i Kielecczyzny. Zajmował się również działalnością impresaryjną. Przez wiele lat podtrzymywał różnorodne kontakty z wybitnymi artystami m.in. z Adamem Harasiewiczem, Virginio Pavarana, Sergio Torri, Sharon Krause. To właśnie dzięki jego staraniom w roku 1980 w Częstochowie i Kłobucku odbyły się recitale Kevina Kennera, wówczas siedemnastoletniego, amerykańskiego pianisty, zdobywcy wyróżnienia na Konkursie Chopinowskim w roku 1980 i II nagrody dziesięć lat później (I nie przyznano).

Wielką pasją Stanisława Tomczyńskiego jest sport. Uprawia gimnastykę, turystykę pieszą, łyżwiarstwo, narciarstwo, wioślarstwo, a nade wszystko – pływanie. Jest członkiem Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Trzy lata temu, w wieku sześćdziesięciu dziewięciu lat uzyskał stopień ratownika wodnego i instruktora nauki pływania.

W wolnych chwilach Stanisław Tomczyński zgłębia zagadnienia psychologii i muzykoterapii, ćwiczy samokontrolę umysłu, odkrywa tajniki numerologii i astrologii oraz leczenia holistycznego za pomocą masażu i autostugii. ■

Poniżej 50 ciekawszych płyt ostatniej dekady z gatunków alternatywnych, acid jazzu. Każdy wykonawca po jednym tytule.

- 1990 Jane's Addiction *Ritual de lo Habitual*
 1991 Mr. Bungle
 1992 Kong *Phlegm*
 Pearl Jam *Ten*
 Rollins Band *The End of Silence*
 Laibach *Kapital*
 Ministry *Psalm 69*
 Kyuss *Blues For the Red Sun*
 Sonic Youth *Dirty*
 1993 Primus *Pork Soda*
 Tribe After Tribe *Love Under Will*
 Paradise Lost *Icon*
 Verve *A Storm In Heaven*
 1994 Soundgarden *Superunknown*
 Satchel *Edc*
 Killing Joke *Pandemonium*
 Corrosion of Conformity *Deliverance*
 Helmet *Betty*
 Deconstruction
 1995 Red Hot Chili Peppers *One Hot Minute*
 King Crimson *Thrak*
 Monster Magnet *Dopes To Infinity*
 Dishwalla *Pet Your Friends*
 The Young Gods *Only Heaven*
 David Bowie *Outside*
 1996 Porcupine Tree *Signify*
 Weapon of Choice *High Per Spice*
 Tool *Aenima*
 Three Fish
 Sun *Nitro*
 Victor
 Pusherman *Floored*
 1997 Tindersticks *Curtains*
 Natacha Atlas *Halim*
 Stereolab *Dots And Loops*
 1998 Page & Plant *Walking Into Clarksdale*
 Dave Matthews Band
Before These Crowded Streets
 Robbie Robertson
Contact From the Underworld of Redboy
 Brooklyn Funk Essentials (feat. Laco Tayfa) *In the Buzzbag*
 Propellerheads
Decksanddrumsandrockandroll
 Juno Reactor *Bible of Dreams*
 1999 David Sylvian *Dead Bees On a Cake*
 Nine Inch Nails *Fragile*
 Groove Collective *Declassified*
 Fish *Rain gods With Zippos*
 2000 Morphine *The Night*
 The Third Eye Foundation
Little Lost Soul
 King Biscuit Time *No Style*
 Primal Scream *Exterminator*
 The Cure *Bloodflowers*

POP NIE POP

Ostatnia dekada to barwny okres rozwoju muzyki. Ogólnie rzecz biorąc lata dziewięćdziesiąte upłynęły pod znakiem ciekawszych zjawisk od kiczowatych gwiazd rocka lat osiemdziesiątych z *Queen* na czele. Mniej więc było pompatycznego rocka, a wszystko zaczęło się od *Nirvany* i *Pearl Jam* – młodzież i starsi oszaleli na punkcie grunge'u, funk-metalu (*Rage Against the Machine*) Jednak ich zenit minął, podobnie jak krótkotrwałe zjawiska drum'n'bass, triphop można już teraz rozpatrywać w czasie przeszłym dokonanym. Od dwudziestu lat wciąż silna jest scena metalowa z całą gamą nowoczesnych podgatunków (np. crossover, industrial). W muzyce tanecznej (ale i szerzej) dynamicznego bakcyła zaszczyliły *The Prodigy* i *Chemical Brothers*, wprowadzając ją na nowe, bardziej motoryczne tory, przy czym masa komputerowych naśladowców – zanutaczy rozcieńcza wartość globalną elektronicznych trendów. Dalej poszedł *DJ Shadow*, który w 1996 spreprował płytę bez użycia instrumentów naturalnych i sztucznych, selekcyjując tylko sample z nagrań innych wykonawców. Zróznicowanie dekady odzwierciedla się też w image subkultur od mrocznej atmosfery metalowców po najbardziej wyluzowany, kolorowy, sportowy styl skate'owców. Zdaje się, że w czasach kultury techno i hip-hopu powoli umierają gotyckie odjazdy londyńskiej wytwórni 4AD. Eksperymenty z poszukiwaniem nowych brzmień (ambient, etno, acid jazz, fuzja różnych gatunków), a do tego sięganie do psychodelii i awangardy lat siedemdziesiątych sprawiły, że pod koniec dekady trudno już oddzielić poszczególne trendy. Ten eklektyczny twór określany mianem post-rocka skupił się głównie w niezależnej wytwórni *City Slang*. W zalewie

brit-popu, a z drugiego bieguna norweskiego i greckiego black metalu, czy francuskich i niemieckich produkcji techno coraz trudniej wydobyć coś wartościowego. Ogłupiająca promocja rzeczy słabych, np. telewizja *Viva 1*, czy *30 Ton – Lista przebojów*, też robi swoje. Jednak można wyróżnić ambitną wokalistkę *Björk*, wynaleźcą trochę wyrafinowanego popu spod znaku *Stereolab*, śladowe ilości awangardy np. z Edynburga, Bristolu i Berlina (*To Rococo Rot*, *Tarwater*, *Schneider TM*), a pod koniec dekady cieplejsze, analogowe brzmienia syntezatorów (*Air*) i sporo kubańskich rytmów.

W podsumowaniu nie znalazło się miejsce dla żadnej polskiej płyty popowej, choć oprócz wylansowanej żenady typu *Budka Suflera*, *Elektryczne Gitary* czy *Golec uOrkiestra* jest prężna scena jassowo-alternatywna Trójmiasta, spory underground, dobrze rokujący artystycznie lecz raczej nie komercyjnie; zespoły: *Ewa Braun*, *Homosapiens*, a zwłaszcza *Ścianka* – absolwenci Akademii Muzycznej w Gdańsku, zainteresowani materia dźwięku, tworzą precyzyjne struktury i brzmienia o chropowatej fakturze, wyszli daleko poza beznadziejność tzw. polskiego rocka. Ze starszych rzeczy najlepiej „wchodziła” mi zimnofalowa i poetycka muzyka *Variete*. Ogólnie polski pop cechuje albo wtórność, albo brak pomysłów, albo prymitywizm, albo wszystko razem. Jeszcze gorzej objawia się to w przypadku gatunków o zadęciu artystycznym: poezji śpiewanej i piosence aktorskiej oraz w tzw. muzyce środka – najczęściej to takie sobie miętolenie bla bla bla... Taki np. Ryszard Rynkowski poza mniej wymagającym słuchaczem jest chyba tylko pociechą dla wytwórni i sklepów muzycznych. I ta wszechobecna moda na muzykę góralską...



Mateusz Pospieszalski

fot. Janusz Mielczarek

Z lokalnej sceny warto przypomnieć, że częstochowski metalowy *Danger Drive* był w 1992 r. supportem na koncertach największych światowych gwiazd tego gatunku jak: *Sepultura*, *Paradise Lost*, *Deicide*, a *Mordor* wciąż poszukuje w progresywnym metalu. W strukturach awangardowych i free jazzowych porusza się Bartek Qźniak ze swymi eksperymentalnymi projektami (pisaliśmy o nim w numerze 20/1999). No i mamy już całe zaplecze następnych grup hip-hopowych, a zwłaszcza hardrockowych (*Eon*, *Churchil*, *Zaar*, *Makle Kfuckle*, *Sweet Fuckin' Silence*), które ostatnio często koncertują np. w *Wakansie*. ■

Majk Tajson Muzyki

Okładka płyty
wydanej w roku 2000



Szymon Grzegorzewski

* * *

podwórka ściśnięte w tłum
ulica rozsypała światła
gasi echa telewizorów

czerstwe twarze mieszkańców
mantrują conocne wyczekiwanie
roznoszą dni na językach

bazar gestów
myśli rozrzucone jak butelki
znają każdy kamień

* * *

ukryć bosc stopy
blade uda
zarys brzucha
kształtne pośladki
piersi ramiona
smukłą szyję
z portretów modiglianiego

przed urzędnikami
wielkich i małych liter
robotnikami
od szóstej do czternastej
domatorami
pod dyktando żony

zmieścić pożądanie
między głową a stopami

* * *

ulica na pół jeszcze senna
rozprostowuje zmarszczki
domy z ust do ust
chuchają oddechem
pijana prostytutka
turla strzępy piosenki
zgrzytliwe przenikliwe ćwierćtony

nieudane perspektywy lat
z obrazów giotta

próba erotyku

wstępuję po miękkich schodach
dotykam cię od wewnątrz
czuję surowy posmak świątyni

* * *

masz dom syna
własne drzewo
pancerz
wyklepany z uczuć
drepczesz w miejscu
nazywasz rzeczy
od początku
nie koniecznie po imieniu

**Wiersz
nagrodzony
w październikowym
Turnieju Jednego
Wiersza**

turniej jednego Wiersza

Wiersze nagrodzone i wyróżnione w listopadowym Turnieju Jednego Wiersza przeprowadzonym podczas X Targowiska Poetyckiego zorganizowanego przez Stowarzyszenie Środowisk Twórczych (organizator główny) oraz Regionalny Ośrodek Kultury w Częstochowie (współorganizator).

I nagroda

MIROSLAWA PAJEWSKA

Moja umarła Mama

Moja umarła mama
Leczy się u Pana Boga prywatnie
Ma wszelkie wygody
Jakich zabrakło jej za życia

Moja umarła mama
Krząta się
Patrzy radośnie na słoneczną koronkę
Utkaną w szparach z desek
Mają tam tyle zajęć
Że ledwie spostrzeża gdy przychodzę

Moja umarła mama
Dochodzi do linii brzegu
I idzie dalej
A lustro wody zamyka się nad jej głową
Idzie dalej przed siebie
Widoczna dokładnie w przejrzystej wodzie
Z miejsca gdzie mnie zalała usta
I przypomniła o powrocie

Moja umarła mama
Przewróciła się jak zwykle na lewy bok
Dlatego grób się pochylił

Moja umarła mam
Często śpi w swoim pokoju
I dopiero poranek przypomina
Że w tym miejscu stoi teraz stół

II nagroda

MATEUSZ SZKOP

Siedzieliśmy naprzeciwko siebie;
ona – znudzona, ze swoimi adorato-dekadentami
i ja – znudzony z czarną, elegancką parasolką.
Za oknami najprawdziwsza szkocka mgła z deszczem
(szkoda, że nie ta z lodem bo można byłoby zapomnieć)
A tu, w środku: drinki przy barze serwuje Wietnamczyk,
który z serii „szef kuchni poleca” pichci sajgonki,
a ludzie przepędzeni z ulicy oglądają we wspólnym
televizorze rozdanie amerykańskich Oskarów.

Siedzieliśmy, więc tak, naprzeciwko siebie, czekając
na słowa jak na republikę bananową z filmu Allena,
otoczeni wpływami obcych kultur, jeszcze przed chwilą
samozwańczy świadkowie jakiegoś przełomu a teraz
już tylko kamienie bo oto kilku nacjonalistów bije i kopie
Wietnamczyka zza baru. Myślę sobie „cholera
to przez tę telewizję, gdyby nie ona, wciąż sądziłoby
że Sydney Pollock to rolnik z Podkarpacia,
który kręci sobie filmy, i nie było by tej całej draki”

Siedzieliśmy, więc tak, naprzeciwko siebie
Nie dowiedziawszy się o sobie niczego,
Bowiem skonsumowani przez konsumpcjonizm
postanowiliśmy wszystko zostawić w domyśle.

wyróżnienia

WALDEMAR M. GAIŃSKI

Późna miłość

późna miłość zdarza się czasami
kiedy serce już stwardniało
odmawiając posłuszeństwa
łazi w starych butach często
pije wódkę i udaje jamesa bonda
w domu ma sterany tapczan
pałac patrzy w sufit i na
wszystko zawsze ma odpowiedź

późna miłość lubi dobre żarcie
i pieniądze ceni sobie spokój
czasem może stracić głowę ale
nie do końca umie się zachować
dba o dzieci i zwierzęta w domu

późna miłość gaśnie bardzo długo
robi z siebie idiotę pośmiewisko
jest tematem plotek budzi
wręcz odrazę lub wymusza litość
ale nawet taka późna miłość
może być wyjątkiem
od reguły w zakłamaney gramatyce życia

WIOLETTA GRZEGORZEWSKA

Bez złudzeń

– czyli jeszcze raz Lewis Carroll

nie ma przejścia Alicjo

w norze królika znajdziesz
schowane w ściółce
ślepe noworodki

zimne tafle luster
sztywno trzymają się
swojej formy

po drugiej stronie atomy
spłotły się w nieprzenikalne światy

opowiadasz swoim dzieciom
o Krainie Czarów
a ja pochylony nad nierozwiązanym
zadaniem z geometrii
myślę że strachem –
nie ma przejścia...

SZYMON GRZEGORZEWSKI

inny świat

dzień zaczyna się nie najlepiej
ślina ma odczyn kwaśny
wciskam skarpety na spocone nogi

mdły i przekrwiony
pełzę po ścianie
w kuchni syczy czajnik
z dawno wygotowaną wodą
pamięć przemawia w obcym języku
nigdy nie miałem go w ustach

trzaśnięcie drzwiami
do windy korytarzem
przy zsypie leży sąsiadka
porusza głową i kończynami
pokazuje skórę i kości

całkiem sprawna kobieta
a ktoś ją na śmietnik wyrzucił



fol. M. Niedostatkiewicz

IZA BULSKA

* * *

Balon napełnił się ciszą
Krzyk wygiął się w łuk
Strzała ma siłę głosu

Tendencja

ciała do spania na jednym boku
skóry
do odwracania
na lewą stronę
by lepiej poczuć
sufit z tendencją
do opadania

* * *

siadał tylko na krzesłach
nagrzanych
energiją
pochodzenia kobiecego

(Platon byłby z niego dumny)

to
co nie dawało mu spokoju
to węże lęgnące się wciąż
w jego żołądku

* * *

Wypatroszyłam myśli
Wniosek nabity
Na dwa widelce

Wszystkie ości na brzegu talerza

(ALMANZOR)**DROBIAZGI – cykl****U.S.A.**

Stany Zjednoczone
Mierzy się od upadku
Meteoru w Arizonie
Do spaceru Armstronga
Po srebrnym globie
W Polsce był chrzest 966
Później promocja
Papierosów „West”

FAUST RADOSNY

Stary Goethe się nudzi
Napisał już wszystko
Odkrył tajemnicę bytu
Przypierniczył by komu

OST FRONT

Przystawiają kąt do prostej
Nieustannie jednostajnie
Murzyni Europy
Czarnuchy Wschodu
Nie tylko menzurka i mikroskop
Czasami rock and roll

FONTANNA

Ja jestem zdrowa fontanna
I mam niezły wygar z sieci
Tryskam płynem na zdziwionych
Robię chmurę rozpyloną

Biję w górę het wysoko
Trzeszczy w trybach zraszacz
Me ciśnienie 100 atmosfer
Trzepie puch na pianę

Podziwiającie mnie dziewczyny
Strzał fontanny w niebo
Jestem zdrowa, higieniczna
W rurze gryzie fluorrrrrrrrr

TADEUSZ GIERYMSKI

OCALENIE

Oto są moje dylemata,
 Gdy wszystko wraca do łożyska,
 Czy stawiać tobie opór siłą
 Tak jak to zrobił kiedyś Miłosz,
 Czy wybrać drogę bez pośpiechu
 W nicość wiodącą, tak jak Lechoń,
 Który w ostatku swoich wierszy
 Przeszłość ośpiewał, a do śmierci
 Wszedł jak do windy, co z tarasu
 Rzuciła go o granit czasu.
 Przeczuwał przecież w swej poezji
 Ten krótkotrwały błysk magnezji,
 Co go zatrzyma i utrwali
 Jak wrak sterczący z morskiej fali
 i jego modrość, jego czarność,
 Te oba skrzydła, co go niosły,
 Oznaczają mogą tylko marność,
 Lament choć piękny, lecz żaloszny
 Nad samym sobą, jak nad wazą
 Rozbitą przez lawinę głazów...

Są dylemata i problema,
 A może wcale takich nie ma –
 I wszystko to, co pisał Miłosz
 Mową klasyczną a zawiłą,
 Co myślał Lechoń w białej pustce
 Z wytwornej biorąc butonierki
 Chustkę i twarz chowając w chustce,
 W mieście olbrzymów i nostalgii,
 Wśród obcych ludzi gryząc wargi,
 Gdy krążył tak u wyjścia z portu
 Szukając śmierci lub paszportu.

Może to wszystko tylko piękno,
 Przed którym chciałoby się klęknąć
 I złożyć głowę jak pod topór...
 Bronić przed strofą, stawiać opór
 Strofie, co przecież go wyniosła
 Wśród wielkich współczesności lektur
 na sam wierzchołek intelektu,
 Słyszeć jak bije o brzeg morski,
 Rytm odmierzając wdzięczny, szorstki
 Jak sierść barana lub krzyk pawi,
 Co jedno słowo drugim krwawi...

A u mnie spokój, zefir, błękit,
 W doniczki sadzam pelargonie,
 Karmię rośliny z własnej ręki
 Chory na cichą melancholię.
 Książka mi tylko jeszcze służy,
 Książka dla dzieci, o podróży
 Do kraju czarów, srebrnej magii,
 (w bajkach jest jednak najmniej blagi!)

To ciebie gniewa, drwiący Książę,
 Że moje życie tak się toczy,
 Pozwól mi zostać w świecie książek
 I nad książkami tracić oczy,
 Czytać historie niestworzone,
 Patrząc na świat oczami dziecka,
 Jak dziecko głaskać włosy żony
 I heksametry dukać z grecka.
 Coś zyskam przecież, bez wątpienia –
 Różne są drogi ocalenia,
 Nie ma stłuczonej porcelany,
 Człowiek jest co dzień ocalany,
 Jest życie krótkie, dłuższa sztuka,
 Co o brzeg śmierci wierszem stuka,
 By poprzez wszystkie katastrofy
 Jak Mojżesz przenieść swoje strofy.

NA DNIE WSZELKIEGO „PIĘKNA” WIDZĘ DRAMAT człowieka. Kolor, wiersz, obraz, rzeźba są dla mnie pustą dekoracją, jeżeli nie kojarzą się z procesem (spalaniem) ludzkiej egzystencji. I w tym sensie jestem estetyczny, nierozumiejący samej formy. Piasek na plaży, który woda ułożyła w powtarzające się koperty (rytm sam dla siebie?), nie potrafi wzruszyć, chyba że podłożę pod ten obraz jakąś asocjację związaną z naszym życiem, naszymi radościami i dramatami.

Czymże jest w końcu sztuka, jeśli nie usiłowaniem powiązania ze sobą dwóch sznurów? Za krótkich.

* * *

Drewniane łóżko, które było kiedyś drzewem pieszczonym przez wiatr, teraz jest moim łożyskiem. Kręcę się na nim niespokojnie i sny mam krótkie jak brzęk monety. Budząc się widzę dwa krzesła, które były kiedyś drapieżnymi zwierzętami, aż ich krew wystygła, zdrewniała.

* * *

R-emu odmówiono wydania książki. Niedopracowana. Ale R. jest wierny swojej obsesji: węższy w tym spisek. Zresztą może ma rację. Powtarza się, jak śmiesznie się powtarza... Jest już stary, lecz nie umie przyjąć swej starości ze spokojem. Mimo woli coś nie tak powiem i zaraz wiem, jak go to boli. Najpierw chciałem pozrywać plastry, którymi się oblepił; obecnie staram się mówić mu to, czego oczekuje. Umrze z morfiną we krwi. Mógłbym modlić się za jego siwiejącą duszę. Jeśli ktoś czyni dobro – znaczy, że wszyscy ludzie je czynili. Tak samo ze złem. Ty zawsze jesteś mną, a ja tobą. Gdy Ramzes II ścinał głowy jeńców syryjskich, to ja też je ścinałem. I ty też. O to mi właśnie chodziło. Wydaje się, że coś z r o z u m i a ł e m. A więc to tak... Jednak odpowiedzialność zbiorowa ludzkości. Tylko całej ludzkości. Niezależna od czasu, przetrzeni.

* * *

Dziewczyna z Technikum Ekonomicznego. Piętnastoletnia wata twarzy. Twarz noworodka, biała, nie wymodelowana przez doświadczenia. Embrion. Ostrożnie kładzie palce na maszynę. W ich koniuszkach widzę świt kobiecy. Świt, który tak często oblewa się nagle purpurą, zalewa swoje i cudze nieba, krwawi, ciemnieje.

* * *

W Błachowni nad wodą. Mgła jeziorna: szara, ociążała, niewybaczalna. Przebija ją nagle ostry promień słońca, wokół którego wirują jedwabne pończochy.

* * *

Przychodzi dziewczyna z grubą teczką kartek. To wiersze. Mam je przejrzeć, ocenić, powiedzieć o nich coś raczej dobrego. Rękopisy mało czytelne, oddają kartki młodej dziewczynie. Ma twarzyczkę inteligentną, skupione, duże, ciemne oczy, gęste, lecz krótkie włosy i sukienkę (nie spodnie) z grubej, miękkiej materii. Widać, że jest stremowana. Rozmawiam, żartuję, pragnę rozbroić jej napięcie. Nie jestem przecież surowym krytykiem ani profesjonalistą, lecz starszym kolegą po piórze. Z początku czyta niewyraźnie, z przesadnym patosem. Głos się jej łamie. Wiersze są złe, banalne, rozpoetyzowane. Czy mam powiedzieć, że nie są wiele warte? Że ta serdeczna emfaza, nadętość to grafomania najlepszej próby? Robi mi się smutno. Ma takie śliczne oczy, osłonięte, gdy czyta, parasolkami długich rzęs. Czuję się jak lekarz, który zna już straszną diagnozę i powinien ją zakomunikować choremu. Więc cóż powiedzieć? Okrutną prawdę, zelgać, pocieszyć, dać nadzieję? Po co przystałem na to spotkanie! Dziewczyna deklamuje już prawie godzinę, okno w pokoju powlekło się szarym zmierzchem, a ja nalegam, żeby czytała dalej. I czyta. Z coraz większym samouwielbieniem. Archaniele Michale, przybądź tu ze swym ostrym mieczem! Przetnij nim moje wahania, wybaw ode złego.

* * *

Rozpełza się we mnie przygnębienie. Świat jest szary, nieciekawym, wyjałowionym z czegoś istotnego. W depresję popadam bez konkretnej przyczyny. Zresztą ów stan prostracji nie trwa długo: przychodzi nagle i tak samo nagle znika, a życie w jednej chwili wydaje się cenne i warte zachodu.

Szedłem więc skapcianały środkiem Alei między wypłowiałymi topolami, mijając przechodniów, którzy wydawali się być nie żywymi istotami, lecz automatami poruszonymi przez kogoś za pomocą przewrotnej aparatury. W takich bowiem chwilach nie odstępowało mnie soliptyczne przekonanie, że jestem jedyną na świecie istotą czującą, wszyscy zaś ludzie to tylko sztuczne twory, dekoracje i bezduszne rekwizyty. Stworzył je jakiś potworny i złośliwy demiurg, żeby mnie pognębić, zamęczyć, doprowadzić do szaleństwa. Patrzy teraz na mnie i szyderczo chi-



chocze. Świat jest złudzeniem. Tak naprawdę istniejemy tylko my dwaj: On i ja – jego ofiara.

* * *

Dziecko z trzeciego piętra przyniosło mi dwie duże pąsowe piwonie o płatkach grubych, lecz przyjemnych w dotyku. Czerwonawe, podwinięte kule. Woń słabiotka jak najskrytsze marzenie, o którym wiemy, że nigdy się nie zrealizuje. Kwiaty nie mają szyi ani rąk, nóg ani twarzy, tylko same wielkie oczy.

* * *

Kłamstwo przepada za pięknym słowem. A przecież słowa wiersza powinny być nagie i okrutne jak stępowe wilki.

* * *

Drzewa i dzieci. Dzieci i drzewa. Więcej nie pamiętam. Nieprawda! Pamiętasz jeszcze zapach zdarzeń. Bardziej niż same zdarzenia.

* * *

Przypadek czyni czasem z człowieka bandytę. Czasem bohatera. Ale to sytuacje wyjątko-

we. Ta moja teza ma mnóstwo przeciwników. Niech ma! W rozwoju całego społeczeństwa przypadek nie gra żadnej roli. Inaczej w życiu jednostki, rodziny.

* * *

Czwarta rano. Wyłuskany z pościeli idę do okna, rozgarniam firanki. Przez szarość powoli przebija się przeciwległy blok, kwadraty okien, zarys balkonów. Życia tam jeszcze nie widać. Tylko bielizna rozwieszona na sznurach informuje, że wewnątrz mieszkań przebywają ludzie, na razie przyszpileni do łóżek. Po godzinie tu i tam zapala się światło. Jeszcze trochę, a bezruch ustępuje. Ze środkowej klatki wybiega kilka osób. Dwie kobiety i trzech mężczyzn. Jedna w długiej sukni i żółtym kapeluszu. Śmieją się, gestykulują, pewnie dzielą się wrażeniami z nieprzespanej chyba nocy. Ta w żółtym kapeluszu pozostaje w tyle. Czekają na nią, biorą za ręce i cała gromadka znika za węglem budynku. Jeszcze przez chwilę słychać ich głosy, śmiech.

Znów cisza. Pies węsząc, biegnie po trawniku. Zatrzymuje się przy piaskownicy, wskazuje na jej drewniane obramowanie i znika pod krzakiem berberysu. Pierwszy oddech budzącego się wiatru porusza firankami. Nowe odgłosy. Od strony aniołowskiego lasku dobiega dźwięk piłowanego drzewa. Ulicą bezgłośnie przemyka auto. Potem hałas i rytmiczny łomot pociągu. Zaczyna wirować codzienne życie.

* * *

Z Hjordis w „Wesołym miasteczku”. Karuzele, strzelnica, kolorowe automaty do gry, kucyki i jeden dorodny, piękny wałach. Płacę 60 złotych. Siada przy mnie amazonka o oczach zgwałconej mniszki. Stępa, kłus, galop. Może myśli, że się złękne, ale zawsze przepadałem za szybkością i żywym, pulsującym pędem koni. Jakby szkockie wrzosowiska, łąchy, piach. Zawracamy. W drodze powrotnej, w niewygodnej pozycji usiłuję młodą, pachnącą koniem amazonkę – pocałować. „Za to pan nie zapłacił” – mówi i podcina konia. Potem prowadzi Hjordis na kucyku. Umawiamy się na drugi dzień już o ósmej. Proszę, żeby była w sukience.

Nazajutrz idzie ku mnie przez trawiastą ziemię. Jest całkowicie odmieniona. To już nie chłopak z oczami kobiety. To młodziotka kobieta nieco zawstydzona, skupiona w sobie, trochę niepewna, zalękniona. Brązowe loki, jasnogranatowe trzewiki, kremowa sukienka na dwóch ramiączkach, głęboki, aż wpadający we fiołki zarys

dekoltu, u dołu okrycia pomarańczowe obramowanie z wyhaftowanym meandrem. Sukienka lekko wcięta w pasie, widoczne fałdy. Po lewej stronie, na wysokości piersi, kieszonka, a w niej jakiś niebieski kwiatek.

Długo stoimy bez słowa.

Odzywa się pierwsza: „To pan jest poetą?”

Mówię żartobliwie, trochę jak w Biblii: „Jam jest”.

Biegły szalone godziny tak szybko, jakby Ziemia przyspieszyła obrót.

Zmierzchało. Wrzosowisko zacierało zielonkawą koloryt. Tylko niewielkie łachy piasku błyszcząły nadal i żywo pachniały. Nad Jastrzębią Górą zaczynały świecić gwiazdy jakimś błękitnym światłem, jakby były wierszami Miłosza. Blade, wcale nieopalone dłonie amazonki zaciskają się w pięści.

* * *

Śmierć przeraża i zarazem fascynuje. Przeróżnie biała albo przeraźliwie czarna (jak kto woli) otchłań nicości. Nie robi natomiast takiego wrażenia myśl, że ktoś przed urodzeniem też nie istniał. Rodzimy się ze stygmatem śmierci. Ergo, wraz z końcem życia umiera też śmierć. Zło śmierci tkwi nie w niej samej, tylko w umieraniu. I tego najbardziej się lękamy.

* * *

Często trzeba być głupcem, żeby zasłużyć na miano normalnego człowieka. Najpierw jest to trudne, z czasem się przyzwyczajasz i im stajesz się większym durniem, tym coraz mniej o tym wiesz. Ale życie robi się wygodniejsze. Jak miękki fotel, z którego wstać nie masz ochoty – potem już i siły.

* * *

Bywa i tak (w życiu, bo gdzieżby indziej!), że ktoś podaje ci rękę, a ty widzisz tę małą, jasną dłoń z niebieskimi wypukłościami żyłek (od pracy, bo od czego by przecież?) i zdumiewasz się, i wstydzisz potwornie, że to właśnie ta dłoń, a nie inna, wyciąga się do ciebie, a usta, których ta dłoń jest przedłużeniem, mówią do ciebie słowa przebaczenia. A przecież ta dłoń mogłaby cię chlasnąć w twarz, a usta powiedzieć coś mściwego – i wszystko wówczas byłoby sprawiedliwie i na miejscu.

Więc bierzesz tę dłoń i dotykasz swoimi ustami, i jesteś zdruzgotany ludzką wielkością tej dłoni, która jest mała, jasna i pocięta niebieskimi żyłkami.■

Tadeusz Giermyski

Człowiek wstał wcześniej. Jeszcze przed wschodem słońca. Wyszedł przed dom i pewnym krokiem ruszył w stronę starej, mocno rozrośniętej leszczyny. Tuż przy niej zatrzymał się, pochylił, mruknął coś z zadowoleniem. Przykucnął tuż przy ziemi.

ŁOWCA WIEWIÓREK

Elżbieta Jeziorowska-Wróbel

– Mam cię! – rozciągnął usta w szerokim uśmiechu. – A jednak dałaś się złapać.

W klatce-pułapce, stojącej pod leszczyną, miotała się ognistoruda wiewiórka. Jej czarne, śmiertelnie wystraszone oczy wyglądały jak dwa szklane paciorki, które nanizane na zbyt gruby sznureczek za moment pękną i rozsypią się na tysiące okruszynek.

Człowiek założył grube rękawice, zbliżył się jeszcze bardziej. Wiewiórka skoczyła z boku na bok, odbiła się ku górze, ale klatka była zbyt ciasna na dalsze manewry, więc opadła na jej metalową podłogę. Człowiek uchylił zapadnię, wsunął do środka dłoń. Wiewiórka rzuciła się na nią jak lew. Drapała, gryzła, kąsała wydając przy tym piskliwe, raniące ciszę poranka, dźwięki. Człowiek nie zwracał na to uwagi. Uśmiechał się tylko. – Wrzeszcz – mruczał. – Będzie z ciebie pieczeń niczego sobie.

Nazajutrz, z samego rana, człowiek znowu zajrzał do klatki. Tym razem była pusta. – Cóż, poczekamy – westchnął zapalając fajkę. Usiadł na drewnianej, chybotliwej ławce, zadarł głowę i patrzył w niebo, na tle którego zarysowywały się czubki starych sosen. Na jednym z nich dojrzał coś rudego. – Ha, oto mój posiłek – skrzywił

usta w wyraźnym grymasie niezadowolenia. Ponad jego głową, na jednej z sosnowych gałęzi, siedziała nieruchomo okazała wiewiórka. W pyszczku trzymała mały, drżący, rudy kłębuszek. Człowiek spojrzał uważniej. – Masz ci ją – powiedział wypuszczając fajkę z ust. – Małe ze sobą włóczy.

W tej samej chwili powiał silny wiatr. Zaszumiały, zakolysały się potężne gałęzie. Wiewiórka drgnęła, oderwała się ze swego miejsca i zataczając wielki łuk w powietrzu, przeskoczyła na sąsiednią sosnę. Przez chwilę trwała nieruchomo, po czym wykonała następny skok.

Człowiek powiódł za nią bystrym wzrokiem. – To ci artystka, takie akrobacje, no, no! – Wstał z ławki i ruszył w stronę drzewa, na którym teraz siedziała, jakby chciał przyjrzeć się jej dokładniej. Znowu zadarł głowę. Wiewiórka szykowała się do następnego skoku. Zafalowała na wietrze jej puszysta kitka i... rudy kłębuszek wysunął się z jej pyszczka. Człowiek na moment wstrzymał oddech. Mały, rudy kłębuszek upadł tuż u jego stóp. Rzucił się na niego natychmiast, przygniótł ciężkim ciałem i w pośpiechu sięgnął do kieszeni po grubą rękawicę. Wcisnął weń wielką dłoń i sprytnie uwieził w niej oszołomione maleństwo.

– Ha, ha! – zaśmiał się wstając i mocno ścisnął swoją zdobycz, która niemalże spadła mu z nieba. – A jednak coś mam! – Uniósł na wysokość twarzy, przyglądając się z uwagą, małą, przytomniejącą już i piszczącą, wiewiórkę. Bezskutecznie szarpała się chcąc odzyskać wolność. Gryzła grubą rękawicę, napinała ostre pazurki. Wszystko to na nic. Człowiek, przyciskając ją mocno do grubej kufajki, spojrzał w górę skąd dobiegał przeraźliwy pisk starej. Skakała z gałęzi na gałąź, w przód i w tył. Zbiegała po pniu drzewa, wbiegała w górę. Drapała pień aż leciały wióry z kory, nie przestając zawodzić w wielkiej rozpacz. Szalała po utracie dziecka.

Człowiek uśmiechnął się, pokiwał głową. – Nic z tego, – powiedział kierując się w stronę domu – nie oddam. – Trzeba było uważać – zachichotał zamykając za sobą ciężkie drzwi.

Na stole, zawalonym różnymi rupieciami, stała pusta klatka. Człowiek oczyścił stół jednym pociągnięciem ręki, otworzył klatkę i wrzucił do niej maleństwo. Mała wiewiórka przez chwilę była nieruchoma, po czym zaczęła miotać się i rzucać na boki, objając o zimne, grube, mocne pręty klatki. Zaczęła je obejmować łapkami jakby chciała wyrwać, połamać i wydostać się na zewnątrz. Drapała, gryzła, piszcząc przy tym

żałośnie. Wreszcie osłabła ze zmęczenia i drżąc całym ciałem, skuliła się w kłębek zastygając znowu w bezruchu.

– No, – człowiek odetchnął z wyraźną ulgą. – Teraz dobrze. I niech tak zostanie. Trochę lichej z ciebie kąsek, ale jak cię podtuczymy... – zadowolony z siebie zapalił fajkę i otoczył się chmurą dymu.

O zmroku człowiek sprawdził zamknięcie klatki, przysunął stół bliżej postania. Zgasił światło, uchylił okno i wygodnie rozciągnął się na skrzypiącym, szerokaśnym łóżku. Zanim zasnął popatrzył w smolistą powłokę nieba, na której pulsowały punkciki odległych gwiazd. Noc była cicha, bezwietrzna, pachniała świeżą żywicą i soczystym igliwem. Człowiek pomyślał jeszcze o zastawionej pod leszczyną pułapce i uśmiechnął się do siebie ziewając szeroko. Przekreślił się na bok podciągając pod kark wielką, puszystą poduchę.

Zbudził go ostry, przenikliwy ból oczu. Zawył jak zraniony zwierz i w tym samym momencie poczuł, w szeroko otwartych ustach, coś dziwnie miękkiego, puszystego, dławiącego i duszącego zarazem. Zakrzuszył się. Zabrakło mu powietrza. Zbierając cały zapas sił uniósł się z wielkim trudem. Usiadł. Poderwał w górę ręce, ale i one w chwili zrywu zabołały, zapiekły jakby ukąszone dziesiątkami ostrych zębów. Wypluł to coś wpychające się do ust.

Zawył znowu. Oczodoły paliły jak wypełnione ogniem, a coraz bardziej dotkliwy ból wdzierał się w głąb czaszki szarpiąc każdy strzępek, każde włókno mózgu.

Człowiek z ogromnym trudem wyskoczył na oślep z łóżka. Zamachał rękoma czując jak spadają z nich, odrywają się z kawałkami jego skóry, niewidzialni napastnicy. Objął uwolnionymi rękoma, ogorzałą bólem całą twarz. Była mokra, lepka. Coś słodkawo mdlącego wypełniało jego usta. Starał się otworzyć oczy, bo wciąż myślał, że są zamknięte, bo wciąż miotał się w ciemności. Na darmo. Nic nie widział. Oczodoły i cała twarz broczyły tą lepką, słodkawą cieczą, która teraz przeciekała wolno pomiędzy palcami jego rozdygotanych rąk. Zrobił krok przed siebie, potknął się o coś, upadł. Po omacku, wyjąc z rozpierającego go bólu, trafił wyciągniętą ręką na stalowe, wychłodzone pręty klatki. Była otwarta. Tak szeroko jak okno, przez które dobiegały teraz wesole popiskiwanie, budzących się ze snu, szczęśliwych, bo wolnych, ptaków. ■

W DROGĘ

(sb)

Napisałem opowiadanie, które skasował mi komputer. Przepadło bezpowrotnie, ponieważ zniszczyłem rękopis, ufając zapisowi na twardym dysku. Technika jest jednak zawodna... Mógłbym napisać je ponownie, ale to już nie będzie to samo. Z pewnością nie będę z niego zadowolony. Liczy się ten pierwszy raz i pomysł. Ten mogę przedstawić w skrócie. Osadźcie sami, czy warto sobie jeszcze zawracać nim głowę.

„Merkucjo – mieszkaniec cywilizowanej Europy Zachodniej był znudzonym konsumpcją młodzieńcem o dosyć bezydeowym spojrzeniu na świat. Atrakcyjny towarzysz nie narzekał na brak powodzenia u płci przeciwnej i z upodobaniem korzystał z uroków życia. Do pewnego czasu. Podczas Świąt Wielkanocnych zdechł jego ulubiony kanarek Pipa, co wpędziło właściciela w krąg rozmyślań ponadczasowych o życiu i śmierci, przemijaniu, nieubłagany rozkładzie materii. Do tej pory myśli te były mu obce. Do dobrego samopoczucia wystarczały mu słońce, plaża i wesołe towarzystwo na jachcie. Jeżeli myślał o Wszechświecie, to kojarzył go z wielką i skomplikowaną maszyną, rodzajem perpetuum mobile, samonapędzającym się wehikułem bez początku i bez końca. Nie brał pod uwagę faktu, że nawet najdoskonalsze urządzenia czasami się psują. Wymagają też konserwacji. Otworzyli w sobie ścieżkę poszukiwań porzucił dotychczasowe rozrywki i życie i przygotował się do wyprawy na daleki, egzotyczny wschód, do Indii. W jednej z knajp w Chorwacji spotkał Amerykanina jadącego samotnie na swoim motocyklu w tym samym kierunku. Szybko się dogadali i dalej pojechali razem. Ich bagażem były tylko dolary i tabletki do odkażania wody. Ameba atakuje! W Turcji natknęli się na trzęsienia ziemi. Zniszczone drogi utrudniały podróż. Objazdy kosztowały ich dużo czasu. Kraj Kurdów też nie należał do gościnnych. Za przejazd musieli płacić lokalnym watahom jak za bilet na autostradę. Do Indii były jeszcze 2/3 drogi, ale tam czekało na nich oświecenie i wyjaśnienie sensu istnienia, tak skomplikowanego jak linie papilarne na lewej stopie Yeti. Amerykanin podążał na Wyspy Miłości, gdzie w oparach haszyszu i przy dźwiękach sitar mógłby zapomnieć o systemie oświaty i podatkach oraz zasmakować w wolnej, zbiorowej miłości. Mógłby też budować społeczeństwo pierwotne z potomkami Maorysów, o ile ci nie zrobiliby z niego parasola z bambusową rączką.

W Iranie zatrzymali się w jednej z górskich wiosek. Według map niedaleko znajdowały się ruiny starożytne-

go miasta z czasów imperium Hammurabiego, a więc bardzo dawno temu. Jeszcze przed Sofoklesem i Sokratesem. Przed całym tym humanizmem europocentrycznym, który niczego nie tłumaczy do końca i jest tylko stekiem sentencji i twierdzeń dogmatycznych. Warto zobaczyć coś takiego. Przez tą suchą i spękaną ziemię, porośniętą pojedynczymi kępami ostrych traw, wśród których przemykały skorpiony i żmije, przewaliło się z tysiąc różnych imperiów i dynastii, kilkanaście kultur piśmiennych i gdzieś tu przed potopem był biblijny Raj. Nieatrakcyjność wypalonego krajobrazu nie pomagała w to wszystko uwierzyć, więc Amerykanin sięgnął po butelkę whisky i wysączył ją wolnymi łykami do dna. Następnie oddał mocz do jedynej w wiosce studni. Wnet złapali go wężacy żandarmi i wtrącili do celi. Merkucja razem z nim. Trzymali ich tam tydzień w fatalnych warunkach, o chlebie i wodzie. Najbardziej drażniące były wścibskie szczury, wygryzające dziury w podszewach. Ich buty wyglądały jak żółty ser. W upalną niedzielę wyprowadzono Amerykanina na plac koło szalasu przypominającego meczet i po krótkim odczytaniu wyroku Rady Starszych ludność wioski przykładnie go ukamienowała. Nie był bez winy, ponieważ zatruł jedyne w osadzie źródło wody jak jakiś napuszczony szpieg, a poza tym pił zakazany w krajach Koranu alkohol. Zgubił go savoir-vivre. Merkucjo siedział w więzieniu jeszcze tydzień, ponieważ nie miał w paszporcie pozwolenia na noszenie długich włosów, nie mówiąc już o dredach. Oстрыm kamieniem, tzw. łupakiem, przysrzygł się na zapalkę, po czym wylądował na pustyni gotowy do dalszej drogi. Pozostało mu jeszcze kilka tysięcy kilometrów do przebycia. Policja skonfliskowała mu pieniądze i nie stać go było nawet na małego wielbłąda, takiego z reklamy Cameli. Wśród skał z dala od wsi mieszkała w jaskini najgorsza dziwka w całej okolicy. Sponiewierany chłopiec znalazł u niej schronienie i opiekę zdrowotną. Za jej namową przyjął religię Mahometan i poddał się wszystkim okolicznościowym obrzędom oczyszczenia duszy i ciała, łącznie z depilacją nadgarstków. Został przyjęty do społeczności Semitów, a imię Allacha wytatuował sobie na ramieniu tłustą czcionką. Polował na kozice i wilki górskie, wiódł surowy żywot eremity. Wkrótce dał się poznać jako bezlitosny łowca skalpów zdzieranych z niewiernych i zwolennik świętej wojny z wyjałowionym jak gaza opatrunkowa Zachodem. Odnalazł w barbarzyńskim świecie sens swojego istnienia. Zaufał swoim instyngtom. Babcia Merkucja wspomina: to był taki nierozgarnięty chłopak...”

Historia, jak widać powyżej, jest banalna, lecz morał z niej płynie jeden: warto zwiedzać świat, ale szlaki wędrówki należy dobierać starannie. Nie doszło by do całej tragedii, gdyby podróżni wybrali szlak przez Kazachstan i Uzbekistan. Nie wykonali też szczepień ochronnych. Brawura i nonszalancja przyczyną wielu nieszczęść, kierowco.■

Literatura i telewizor

Krystian Piwowarski

OSTATNIO, W NIEDŁUGIM ODSTĘPIE CZASU, ukazały się w Częstochowie dwie książki prozatorskie: „W cieniu złych drzew” Andrzeja Kalinina i „Krwisty befszytk” Marcina Rumińskiego*, co jest, jak na nasze lokalne stosunki wydarzeniem samym w sobie. Zestawiam oba tytuły również i dlatego, że zafrapowała mnie odmienność literackich propozycji, w naturalny sposób skłaniająca do porównań. Mamy bowiem do czynienia z literaturą dojrzałą i bardzo młodą. Interesujące jest zderzenie metod twórczych oraz czegoś znacznie głębszego, mianowicie pojmowania istoty współczesnej literatury. Książka Kalinina opowiada o paroksyzmach historii i paradoksach ludzkich losów, Rumiński natomiast rejestruje wydarzenia dziejące się za naszymi oknami trochę na zasadzie *cinema verite*.

Żyjemy w czasach postideowych, kiedy sztuka, jak gigantyczne dinozaury, już umarła lub jest na wymarciu, a jej miejsce zajęło pelzające przy ziemi, szczone rzemiosło oparte na sztancy, w najlepszym wypadku zaś rękodzieło artystyczne w rodzaju kurpiowskich wycinanek. Przepadły wielkie namiętności, które od zawsze były pożywką sztuki, pozostało mniej lub bardziej zręczne imitatorstwo. Epicką panoramę losów, jaką pokazuje Kalinin poruszając się w czasie i przestrzeni półwiecza, Rumiński zastępuje prozatorskimi clipami, fragmentami, dla których kontekstem jest rzeczywistość medialna. Czytając Rumińskiego oglądam świat wykadrowany do wielkości ekranu telewizora lub gazetowej szpalty. W literaturze, jak i w sztuce w ogóle, szukam deformacji. Jest to dla mnie wyznacznik decydujący, na której półce umiejscawiam dzieło. Książka Rumińskiego jest poprawnym, standardowym rzemiosłem i dlatego, jak sądzę, nie jestem w stanie wzruszyć się tą prozą, nie pobudza mnie również intelektualnie. Żałuję, ponieważ autor dysponuje na tyle dobrym warsztatem, że mógłby się pokusić o choćby niewiel-

kie wykrzywienie opisywanej rzeczywistości. Dowód takiej sprawności daje w „Pełni” i „Polskiej ruletce”- interesującej zabawie, ale tylko zabawie, literaturą i realnym, choć ciągle medialnym, kontekstem – opowiadaniem, dla których powinien być znaleźć inne miejsce, na pewno nie w zbiorze „Krwisty befszytk”. Sądzę, że powodem, dla którego Kalinin opowiada o zdarzeniach, a Rumiński je zaledwie rejestruje jest wiek obu autorów. Pierwszy należy do pokolenia pisarzy ukształtowanych przez idee (jakiegokolwiek by one były), a to zawsze oznacza skłonność do stosowania historiozoficznych kontekstów. Wiek autora to również odpowiednio duży lub mały garb osobistych doświadczeń. Tu zależność jest prosta, im garb jest większy, tym snuta opowieść jest ciekawsza, głębsza, rozgrywająca się na wielu poziomach, metaforyczna, pełna odniesień i tak dalej. Dałem się uwieść opowieści Kalinina, nawiasem mówiąc doskonale stroniącej od propagandy i epatowania tanim efektem, o co, przy tematyce jego książki (okres polskiego stalinizmu), wcale nie trudno. Przy zachowaniu spokojnej, klasycznej formy narracyjnej autor skupił się na opisie powykrzywianej rzeczywistości ukazując jednostkowe ludzkie losy, którymi rządzą tragikomiczne paradoksy. Unikając koturnowego dramatyzowania, przekonująco maluje portrety postaci uwikłanych w ten szczególny, właściwy historii naszego narodu zwariowany, zasuplony w twardego węzeł splot nieprawdopodobnych przyczyn i jeszcze bardziej nieprawdopodobnych skutków, jak choćby groteskowa wręcz historia bohaterów opowiadania „Pszczółki i trutnie”, w której rolę swoistego *deus ex machina* odegrały zaślinione wargi pijanego Breźniewa. Kilkaset lat oddziaływania zachodniego racjonalizmu z jednej strony, a wschodniego mistycyzmu z drugiej, pomieszało nam w głowach do tego stopnia, że dysponując zdroworozsądkowymi przesłankami, wyciągamy najzupełniej fantastyczne wnioski i na odwrót, budujemy imponujące zamki na chmurze ze snów, wierząc głęboko w powodzenie przedsięwzięcia. Żeby nie być gołosłownym wspomnę o dniu dzisiejszym, choćby o naszych czterech fundamentalnych reformach struktury państwa, budowanych na chmurze, na lodzie, na wodzie, na piasku, na konfabulacjach polityków. Historie bohaterów Kalinina to w równym stopniu ich tragiczne przypadki osobne, co fragmenty nielogicznej mozaiki polskiego, mającego się bardzo dobrze, szaleństwa, z którym zamierzamy dziarsko wkroczyć w XXI wiek.

W literaturze szukam obrazu świata, jakiego z wielu względów nie jestem w stanie dojrzeć, a nade wszystko szukam w niej syntezy, bo tylko z syntezą mogę wejść w twórczy dyskurs. Znam rzeczywistość drobiazgowo rejestrowaną przez Rumińskiego. Autor nie powiedział mi o współczesności nic nowego, dlatego, mimo sporych wysiłków, by nadać formie atrakcyjność, głównie przez dynamizowanie akcji, krótki, szybki dialog, jego analityczne opowieści nie zrobiły na mnie wrażenia.

w literaturze [...] szukam [...] syntezy, bo tylko z syntezą mogę wejść w twórczy dyskurs

Może właśnie dlatego ta proza tak bardzo przypomina mi telewizję. Ten rodzaj słowno-obrazkowej hybrydy uprawianej przez Rumińskiego nic nie pozostawia mojej wyobraźni, nie skłania mnie do zadawania pytań i poszukiwania odpowiedzi, jest gotowym literackim fast-foodem. Czytając kolejne opowiadania z tomu „Krwisty befsztyk” (z wyjątkiem „Pełni” i „Polskiej ruletki”) nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że zamiast książki trzymam w ręku pilota i skacze po kanałach komercyjnej telewizji oglądając programy w rodzaju 997, *Real tv*, *Ekspres reporterów* i tak dalej. Pisarstwo Rumińskiego nie podoba mi się ponieważ jest błahe i jałowe, nużąco monotonne, mimo, że jego tematem jest zbrodnia. Wydaje mi się, że autor kieruje swoją prozą do czytelników popularnych, mocno ilustrowanych periodyków i widzów popularnych programów telewizyjnych, bo ta grupa społeczna nie odbiera sygnałów bardziej skomplikowanych ponad prymitywny, ukazany wprost i jednoznacznie behavior uczestników zderzeń. Tylko dlaczego zaraz angażować do tego literaturę? Nie prościej złapać za kamerę? Właśnie. Otóż dotykam najistotniejszego problemu współczesnej kultury, nie tylko literatury – wypierania słowa przez obraz, co musi się nieodmiennie kończyć drastycznym regresem intelektualnym. Jestem w stanie wyobrazić sobie komputer wyposażony w zasób słownictwa na poziomie piętnastolatka, który zastąpi Rumińskiego przy pisaniu kolejnych opowiadań. Co prawda zrobi to nie lepiej

niż autor, ale też nie gorzej. Współczesna kultura jest przemysłem, zaś odbiorcami jego wyrobów są ludzie młodzi. Zarządzający tym przemysłem dbają, by wyroby nie były nazbyt złożone, bo tylko proste się sprzedadzą. Opowiadania Rumińskiego są najdoskonalszym tego przykładem. Po raz wtóry powiadam, że żałuję, jestem przekonany, że młody autor potrafiłby przeciwstawić się tej podłej modzie. Ale nie chciał. To przykre, oddał obrazkom to, co było zastrzeżone dla literatury: głębię myśli, przesłanie, intelektualną zabawę, piękno słowa, metaforę, kontekst, podtekst i tak dalej. Warto sobie uświadomić, że konformizm i koniunkturalizm to sprzymierzeńcy popkultury, a wrogowie sztuki. Jeżeli Rumiński postanowił być rzemieślnikiem i używać literackiej wtryskarki do produkcji plastikowej galanterii, to ma przed sobą przyszłość. Jeżeli ma większe ambicje, to zbrodnię, którą opisuje powinien uczynić, jak to robi Kalinin, zaledwie pretekstem, zaledwie odległym kręgiem wody po kamieniu rzuconym w otchłań ludzkiej egzystencji.

Kalinin i Rumiński. Ci dwaj częstochowscy prozaicy to dwa przeciwstawne rodzaje pojmowania istoty i funkcji współczesnej literatury. Kalinin wychował się w tradycji odpowiedzialności za wypowiedzane słowa i wyobraźnię czytelnika, Rumiński jest dzieckiem epoki piktogramu – znaku niczyjego, niosącego płaskie, jednowymiarowe treści. Czytając Kalinina zanurzyłem się w odwiecznym, ponadczasowym, uniwersalnym strumieniu ludzkiej komedii omyłek. Ostatnim opowiadaniem z tomu „W cieniu złych drzew” jest przejmująca „Wigilia białych niedzwiedzi”, którego bohaterem i jednocześnie alegorią tragicznie koślawej drogi człowieka, jest pijany, dręczony wspomnieniami komendant obozu. Postać komandira, niosąca całe opowiadanie na jednym, jedynym zdaniu: „– Tylko te wspomnienia, te cholerne wspomnienia...” została mistrzowsko nakreślona zaledwie paroma oszczędnymi kreskami. Skończywszy czytać „Wigilię...” natychmiast i zupełnie automatycznie pomyślałem o równie tragicznych postaciach Izaaka Babla. To jest właśnie ów strumień, o którym wspominałem. Można go nazwać tradycją odpowiedzialności za jedyne tworzywo, jakim winna posługiwać się literatura – słowo. Czytając Rumińskiego oglądałem telewizję.

Na marginesie warto odnotować, że obie książki ukazały się dzięki mecenatowi m.in. Zarządu Miasta Częstochowy i Stowarzyszenia „Nasza Częstochowa”.

***Andrzej Kalinin:**
„W cieniu złych drzew”,
Wydawnictwo
Ostaniec,
Olsztyn 2000
Marcin Rumiński:
„Krwisty befsztyk”,
Wydawnictwo
Zielona Sowa,
Kraków 2000

Nie tylko wspomnienia

Barbara Szymańska

Dziękuję Ci za wszystkie śliczne listy. Nie gniewaj się, że nie odpisuję, ale naprawdę teraz nie mam czasu, bo się muszę uczyć i czasami pracować. To jest bardzo trudne mówić ładnie po angielsku, a jeszcze czytać i pisać. Właściwie to chyba jesteśmy w tej samej klasie – w pierwszej. Posyłam Ci trochę znaczków – pewnie Ci się będą podobać, bo mnie się podobały, kiedy je wybierałam...

(H. Poświatowska, z listu do brata Zbigniewa)

„Ja minę, ty miniesz ...”. O Halinie Poświatowskiej. Wspomnienia. Listy. Wiersze. Zebrała i opracowała Mariola Pryzwan. Wydawnictwo „Domena”. Warszawa 2000. Publikacja ważna i wartościowa. Z dużym zainteresowaniem sięgnęłam po tę książkę. Jest to wydanie drugie, zmienione i poszerzone. Wydanie pierwsze pojawiło się na rynku księgarskim w roku 1994.

Autorkę książki, Mariolę Pryzwan, znam osobiście. Mieszka i pracuje w Warszawie. Ukończyła studia polonistyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Jest kobietą niezwyklej pasji życia. Z cierpliwością i dużym uporem już od dziesięciu lat podąża śladami Haliny Poświatowskiej.

Dzięki zamieszczonym listom i wspomnieniom mamy okazję obserwować wiele stron życia poetki.

W opracowaniu znajdują się pierwszy raz publikowane wypowiedzi krewnych Haliny, przyjaciół, kolegów, współpracowników m.in.: Jerzego Bigosińskiego, Jerzego Romana, Haliny Schweiger, Michała Hempolińskiego. „Ja minę, ty miniesz ...”, to nie tylko wspomnienia, ale również wiersze o Poświatowskiej oraz korespondencja poetki.

Książka Marioli Pryzwan znalazła swe znakomite dopełnienie także w zdjęciach. Możemy obejrzeć wiele nieznanych zdjęć Haliny z różnych okresów jej życia. Są one próbą uchwycenia klimatu i nastroju miejsc. Stają się czymś żywym, bliskim i ważnym.

Dzięki warszawskiemu wydawnictwu „DOMENA” do naszych rąk trafiła kolejna pozycja o Poświatowskiej. Mimo, że twórczość i życie poetki coraz częściej stają się tematami różnych opracowań biograficznych, wydaje mi się, iż Halina Poświatowska na zawsze pozostanie wielką tajemnicą i legendą.

Pragnę jeszcze wspomnieć o szacie edytorskiej książki. Opracowanie zostało przygotowane starannie. Jest oprawione w lśniącą i twardą okładkę, a układ typograficzny to kolejny walor publikacji.

W długie zimowe wieczory chętniej niż zwykle sięgamy po literaturę. Myślę, że książka Marioli Pryzwan wypełni nam ten czas. ■



Najczystsze źródło polszczyzny

Tadeusz Gierzyński

Przypadek zrządził, że na kilka tygodni przed sto siódmą rocznicą urodzin Jarosława Iwaszkiewicza (ur. 20 lutego 1894 r., zmarł 2 marca 1990) sięgnąłem do jego poetyckiej spuścizny. Ostatni raz wiersze autora „Panien z Wilka” czytałem bardzo dawno. Nieczęsto się zdarza, by ponowna, po latach lektura stała się złapaniem świeżego oddechu, wzruszeniem i relaksem dla wyobraźni i umysłu, które przywykły już do ciężkiej pracy poszukiwania klucza do tekstów współczesnych młodych i najmłodszych poetów.

TERAZ, PRZY PONOWNYM CZYTANIU ODKRYŁEM na nowo urok i prostotę nawet tych najwcześniejszych, młodzieńczych „Oktostychów”, pisanych przez Iwaszkiewicza jeszcze w okresie I wojny światowej:

*Nie masz większej mądrości nad mądrość powrotu...
Z czytana dawno książką sięść na zrab cysterny
I patrzeć na wirydarz stary, cichy, wierny,
Z głębią mdlejącej zorzy u drogi wylotu.
A potem, na dno wody obróciwszy oczy,
Spostrzegać na zielonej, nieruchomej głębi,
Jak się wodnej zarośli włos przejrzysty kłębi,
Niby dawne odbicie dwóch złotych warkoczy.*

„Powrót”

I popłynąłem dalej w to poetyckie morze: przez trochę rozszalałe, ekstatyczne „Dionizje”, „Kasydy”, przez liryki „Księgi dnia” i „Księgi nocy”, będące najczystszy źródłem polszczyzny.

Fascynujące są metamorfozy liryczne u Iwaszkiewicza. Inną barwę ma „Powrót do Europy” – cykl wierszy wynikłych z podróży poety po krajach naszego kontynentu i jego udziału w międzynarodowych zjazdach intelektualistów, gdzie prywatność tak harmonijnie splata się z postawą obywatelską, aczkolwiek Iwaszkiewicz politykiem był marnym i nadto bojaźliwym, ale to już całkiem inna historia, jak mawiał Kipling. Inne jest „Lato 1932” o ciemnym kolorycie, sceptyczne i nie pozbawione humoru. O odmienną skalę odczuć i paletę barw poszerza wyobraźnię „Inne życie” (z pięknym cyklem sonetów sycylijskich poświęconych Karolowi Szymanowskiemu) o przewodze tematyki malarskiej, gdzie obrazy wielkich mistrzów zamieniają się w słowo...

Iwaszkiewicz okupację przeżył w kraju, w Stawisku, gdzie udzielał schronienia artystom i pisarzom. Był jednym z wielkich Skamandrytów, który towarzyszył narodowi w jego doświadczeniach „epoki pogardy i pieców”. Nie skorzystał z możliwości wyemigrowania. Zaraz po wojnie zgłosił swój akces do odbudowy kraju, a próbując dokonujące się zmiany społeczno-polityczne, czego co poniektórzy długo nie mogli mu wybaczyć. Już we wrześniu roku 1945 wybrany został prezesem Związku Literatów Polskich. Powierzono mu też redakcję różnych czasopism literackich jak „Życia Literackiego”,

„Nowin Literackich”, „Twórczości”. Brak ociągania się i natychmiastowe uczestnictwo w życiu kraju, w odbudowie kultury, musiały wywrzeć wpływ na jego twórczość, w tym także na poezję.

W powojennych tomikach wierszy („Ody olimpijskie”, „Ciemne ścieżki”, „Tristan przebrany”, „Jutro żniwo”, „Warkocz jesieni”, „Słownik włoski” i inne) odzwierciedlone zostało to uczestnictwo. Iwaszkiewicz wiele strof poświęcił odbudowie polskich miast, portów, mostów, rozważaniom nad kulturą dla wszystkich, wreszcie walce o niedopuszczenie do kolejnej wojny. Nie był w swej naiwności świadomy, że często był narzędziem w rękach polityków głoszących humanistyczne hasła i wygłaszających patetyczne apele. Świadczą o tym chociażby „Ody olimpijskie”, nagrodzone na XIV Igrzyskach w Londynie, w których apeluje bezpośrednio o światowy, powszechny Pokój. Ale i w tych „politycznych” utworach pozostał znakomitą stylizatorem. Nawiązują one przecież do antycznych ód Pindara.

Z czasem jednak następuje w poezji Iwaszkiewicza zmiana artystycznych środków wyrazu. W powojennej liryce coraz częściej rozwijana jest klasyczna struktura wiersza. Poeta rezygnuje z układu metrycznego i rymowego, stosuje wiersz wolny typu Różewiczowskiego, swobodną wersyfikację, wprowadza prozaizmy, nawiązuje też do tradycji ludowej.

Jednak swej zasadniczej problematyce Jarosław Iwaszkiewicz pozostał zawsze wierny. Sztuka, miłość, śmierć, samotność, gorzka świadomość przemijania, a więc pytania o sens ludzkiego życia stanowią główne motywy przewijające się przez całą twórczość autora „Brzeziny”, przez poezję, wspaniałą nowelistykę i prozę. I nadają dziełom jednolitą perspektywę filozoficzną.

Krytyka od dawna podkreślała zadziwiającą wszechstronność Iwaszkiewicza. W młodości marzył o karierze muzycznej – może dzięki zażyłości z rodziną Karola Szymanowskiego, któremu napisał libretto do opery „Król Roger”. Jest także autorem monografii o Chopinie, Bachu, wspomnień o Szymanowskim i licznych szkiców muzykologicznych.

Inną pasją Iwaszkiewicza był teatr. Występował jako aktor, w późniejszych latach pełnił w teatrze funkcję kierownika literackiego. Jest wreszcie autorem kilku sztuk (np. „Lato w Nohant”, „Kochankowie z Werony”, „Maskarada”, „Wesele pana Balzaca”). Tłumaczył Szekspira, Tolstoja, Czechowa, Girardoux, wiersze Achmatowej, pisarzy włoskich i skandynawskich. Pisywał wspomnie-

nia, listy z podróży, przedmowy do książek i recenzował je (starsze pokolenie pamięta zapewne „Rozmowy o książkach” – stały felieton literacki w „Życiu Warszawy”). Wykładał na uniwersytecie.

Na zakończenie tych kilku uwag, nie mających ambicji opisanie wyjątkowego zjawiska w kulturze polskiej lat powojennych, któremu na imię Jarosław Iwaszkiewicz, chciałbym wspomnieć o moim jedynym i króciutkim spotkaniu z autorem „Czerwonych tarcz”.

Był rok 1947. Mieszkałem wtedy w Łodzi i chodziłem do przedostatniej klasy gimnazjalnej. W tym mieście, nie zniszczonym w czasie wojny, znajdowało się wciąż jeszcze liczne środowisko literackie. Pamiętajmy, że Warszawa zaczynała się dopiero odbudowywać.

Niemal cała nasza męska klasa pisała wiersze. Pisałem i ja, pisał mój szkolny i najbliższy wówczas kolega – Zbyszek Nienacki (autor poczytnych powieści dla młodzieży). Któregoś dnia odważyliśmy się nasze poetyckie a nieudolne płody pokazać znakomitemu poecie Mieczysławowi Jastrunowi. Z bijącymi sercami staliśmy długo przy drzwiach, nim sięgnęliśmy do dzwonnka. Pan Jastrun przyjął nas całkiem uprzejmie i z wyrozumiałością przeglądał nasze teksty. I wtedy z przyległego pokoju wszedł ktoś, kogo od razu poznaliśmy (fotografie w prasie!) – Jarosław Iwaszkiewicz. Też wziął do ręki którąś z naszych kartek. Z niecierpliwością czekaliśmy na werdykt! Ale pan Iwaszkiewicz zaproponował nam pewien eksperyment: zaczął czytać głośno jeden z wierszy w ten sposób, że zastępował słowa ich semantycznymi przeciwieństwami. Gdy w tekście znajdował się przymiotnik „biały” – czytał „czarny”; gdy w wierszu było słowo „śnieg” zmieniał je na „deszcz”, gdy było „kocham” czytał „nienawidzę” itp. A w końcu uśmiechając się zapytał nas, czy wiersz brzmi gorzej? Nie brzmiał gorzej, wypadł nawet lepiej i sensu mu przybyło! Musieliśmy to przyznać.

Potem usłyszeliśmy dużo ciepłych i serdecznych słów zachęty do dalszej pracy, do bacznego rozglądania się po świecie i życiu. Bo cóż można było powiedzieć dwóm rozparzonym, może zbyt pewnym siebie chłopakom?

Ale przecież Jarosław Iwaszkiewicz przez swój żartobliwy „eksperyment” wyraził bardzo mądrą myśl na temat poetyckiego warsztatu. Dotyczyła ona odpowiedzialności za poetyckie słowo, za jego celność.

I za każde słowo w ogóle... ■

SZANOWNI CZYTELNICY, którzy zachowali w łaskawej pamięci moje potyczki z przystosowaniem, zapewne pomyślą, że chyba się udało. Rok minął, a ja z zażenowaniem muszę przyznać, że niestety – nic z tego. Przeciwnie – z coraz większym osłupieniem plawię się w dobrodziejstwach transformacji.

Oczywiście, usiłuję się przystosować. Staram się nie chorować, żeby nie pogłębiać zapaści służby zdrowia, która sama wymaga kuracji – i to końskiej. Dobrze, że przynajmniej na małym ekranie w czterech serialach lekarze dzielnie i z samozaparciem walczą o życie i urodę dwu- i czworonożnych pacjentów.

Staram się nie jeździć pociągami, żeby nie wylądować w szczerym polu usłanym już to pszenicą, już to pielęgnarskimi czepkami.

Mijając witryny księgarskie przechodzę na drugą stronę, żeby mnie nie kusilo. To jeszcze jeden paradoks dzisiejszej rzeczywistości: ci, którym czytanie potrzebne jest jak powietrze, nie mają możliwości zaspokajania swoich fanaberii, a biblioteki (przepraszam za dwuznacznik) publiczne tępi się z zaciekłością niemal taką samą jak narkotyki i pornografia. Tylko z lepszym skutkiem. No, a ci których stać na kupowanie książek, traktują je w najlepszym razie jak wyposażenie wnętrza.

Cieszę się, że przynajmniej reforma szkolnictwa nie dotyka mnie osobiście, ale to radość przedwczesna – wnuki wszak rosną!

Do gazet i czasopism też rzadko zaglądam. Przepisy kulinarne, maseczki upiększające, diety-cud, no i oczywiście miliony ogłoszeń. Wszystko to średnio mnie interesuje.

Jedyną dostępną bez ograniczeń strawą duchową (?) jest miłościwie nam panująca telewizja. Rolf Hochhuth – niemiecki dramaturg powiedział: „Nie wszyscy fachowcy są idiotami, lecz idioci są zawsze fachowcami”. Coś w tym jest.

Na pewno chlubnym wyjątkiem są poniedziałkowe teatry telewizji. Z satysfakcją stwierdzam, że ostatnie były bardzo udane, zwłaszcza „Grzechy starości” Macieja Wojtyszki, czy Gérarda Auberta „Podróż” – z kreacjami Gustawa Holoubka. Nie jest to wprawdzie ankieta do „Telekamer”, ale nie mogę sobie odmówić wyrażania mego uznania dla programów dokumentalnych i niektórych publicystycznych, na przykład „Sprawa dla reportera”. No i to by było na tyle, jak zwykł był mawiać profesor mniemologii stosowanej.

Za to obrodziło nam lato serialami – wszystko mi się już pokiełbało; wątki i osoby skaczą po ekranie jak pchły, a najbardziej irytujące jest oglądanie tych samych aktorów w wielu podobnych do siebie wypoczynach.

Podobnie jest z teleturniejami; namnożyło się tego, istna epidemia. A już prowadzący – co jeden, to lepszy. Że też ich ręce nie rozboją! No, ale mając takiego niedoścignionego mistrza w tej dziedzinie – prawdziwego, wziętego aktora, który gra wszędzie, wszystko i we wszystkim... Jednym z jego środków artystycznych jest bezustanne machanie rękami.

„Nie wszyscy fachowcy są idiotami, lecz idioci są zawsze fachowcami”

W telewizji „Polsat” od pewnego czasu program „Idź na całość” prowadzi nowy artysta. Tak się przejął tytułem, że rzeczywiście poszedł na całość. Wrzeszczy, piszczy, podskakuje, chrypi, kokietuje infantylnymi pytaniami zaczerpniętymi z jego poprzednich dokonań konferansjer-

skich w programach dziecięcych. Ma też nowe pomysły – mianowicie – warrrczy(!), a żeby zademonstrować nienaganną dykcję, mówi na przykład pięć – dziesiąt. Jest się tym dyplomowanym aktorem! Szkoda tylko, że nie zna języka ojczystego. Proszę Państwa, ręczę słowem, że tego nie wymyśliłam. Cytuję: „Państwo wylosowało, zrezygnowało, przystąpiło” – nie, nie Państwo, czyli Kraj, ale Państwo, powiedzmy – Iksińscy. Mocna rzecz.

Nic dziwnego, że prowadzący nowy teleturniej, tym razem w programie pierwszym „Kochamy polskie seriale” zapatrzył się na swojego guru i też miota się, wrzeszczy i ciska kapełuszami, a rękami wyczynia takie młynki, iż zachodzi uzasadniona obawa, że uszkodzi je sobie w sposób nieodwracalny.

W świetle takich dokonań zupełną błażostką są olimpijskie rekordy naszych sprawozdawców sportowych. Usłyszałam mianowicie, że „ławka się denerwuje” albo „jak przeżywa ławka”. Biedna ławka.

Mistrz Konstanty Ildefons Gałczyński już dawno stwierdził, że „My Polacy, my lubim pomniki”. Fakt. Lubimy też rocznice, kongresy, jubileusze i wszelkiego rodzaju obchody.

Hasło telewizyjnego programu drugiego „Dwójka – od 30 lat dla wymagającego widza” nie wzbudza we mnie wielkiego sprzeciwu. Ale co powodowało tą szacowną Jubilatką, aby za bajońskie sumy wykupić prawo do transmisji tak epokowego wydarzenia, jak pojedynek naszego eksportowego mistrza Gołoty i pokazywać tę mizerię aż czterokrotnie!

To już chyba wołę reklamy. Z nich można się przynajmniej czegoś pożytecznego dowiedzieć. Na przykład, że do wypicia kawy, czy czekolady potrzebne są talerzyki deserowe, może i widelce. Że piwo bezalkoholowe może nosić nazwę „Strong”, zupełnie jak papierosy „Mocne”, które są równocześnie opatrzone napisem „super lights” ot, ciekawostka lingwistyczna!

Możemy również zapoznać się z odmianą słowa „makao” – mianowicie jakieś gąbkowe gęby niewątpliwe męskie, choć mówiące o sobie, jako o istotach rodzaju żeńskiego grają w karty i padają odzywki karciane „makao” i „po makale”. No, ale skoro minister może **forować** wyroki, to czego chcieć od komórek.

Mój artykuł nie może oczywiście obyć się bez akcentu częstochowskiego. Otóż nasza Filharmonia wsparta łódzkimi siłami operowymi uraczyła melomanów spektaklem „Krakowiaków i Górali” Wojciecha Bogusławskiego z muzyką Jana Stefaniego, okraszona tańcami góralskimi Stanisława Moniuszki. Czyli czysta klasyka. Jednak po usłyszeniu zapowiedzi w lokalnej telewizji zwątpiłam w trafność moich przypuszczeń. Otóż dowiedziałam się, że spektakl nosi tytuł „Cud, czyli Krakowiacy i Górale”!

Podejrzewam, że przez gardło zapowiadającemu nie przeszła informacja, że może mieć miejsce „Cud mniemany...”. I to w Częstochowie! Dawałoby to asumpt do podejrzeń, że cudów nie ma. Domniemywam, że cud mniemany jest przeciwko, a nawet za. Wartościom.

Przykładem niech będzie Stolica, gdzie można zapłacić głową za nieprzemysłane ekspozycje muzealne. Huczek, jaki powstał w „Zachęcie” może być zachętą do przemysłów na temat: po co się narażać?

A jak już wyłączy Państwo telewizor, zapraszam do lektury książki Jana Tyszkiewicza „Arystokrata bez krawata”, a z łżejszych propozycji – Joanny Chmielewskiej „Przeklęta bariera”. Też o przystosowaniu.

Polecam również audycje radia „Bis” – ciekawe, podane kulturalnie, piękną polszczyzną, bez pośpiechu, zadyszki i ciąglego poganiania rozmówców.

A jak już wszystko zawiedzie – zajrzyjmy, co słychać w „Alejach”.

Do Siego roku!

Elżbieta Bułhak

Z MIASTA

BLAZEN

Od października ruszyła w OPK Gaude Mater nowa cykliczna impreza pod nazwą „Błazen”.

W co drugi poniedziałek o godz. 19.00 Tomasz Kmiecik przedstawia swoich gości – poetów, satyryków, muzyków, bardów prezentujących dziesięciminutowe programy dowolnej treści. Wieczory są bardzo sympatyczne, można się pośmiać (jak sugeruje nazwa), ale i posłuchać uzdolnionej młodzieży z miasta, czasem z kraju. Występują także poeci starszego pokolenia jak np. pan Waldemar Gaiński. „Błazen” wypełnił pewną lukę po Spotkaniach Sztuk Wszelakich.

BEKSIŃSKI

W listopadzie mogliśmy oglądać w WOK-u najnowsze prace Zdzisława Beksińskiego. Nie były to tym razem obrazy olejne, lecz foto-kolaże komputerowe, ponieważ ostatnio artysta pracuje najczęściej w tej technice. Wiem, że Beksiński zawsze marzył o takim urządzeniu i możliwościach, jakie ono daje, lecz ja wolę jego obrazy malowane metodą tradycyjną. Te straciły wiele z romantycznego klimatu, po których go rozpoznawałem (niesamowitość, groza, posępność) i bardzo przypominają ambitniejsze reklamy. Chyba za dużo jest w nich światła. Po za tym cena za jedną kopię (2000 zł) jest dla mnie wygórowana. Wiem, że w ciągu pół godziny można na odpowiednim urządzeniu zrobić ich kilka. Dzisiaj płaci się za oryginalność i niepowtarzalność, a nie za pop-art.

STARA POCZTÓWKA

Niestrudzony antykwariusz, pan Biernecki, wydał drugi już album z kolekcją swoich pocztówek. Tym razem jest to „Jasna Góra na dawnej pocztówce” (Wydawnictwo MS, Opole 2000). Książka zawiera arcyciekawe materiały (np. widokówki z okresu

I Wojny Światowej, kiedy Jasna Góra była autonomiczną enklawą w Prusach, albo z pożaru wieży), ale jest mniej efektowna od poprzedniej, poświęconej Częstochowie. Rzecz bardziej dla pielgrzymów niż dla turystów. Straszy też wysoka cena (70-80 zł). W introligatorni wykonano coś chyba nie tak, bo sztywne okładki wyginają się na boki (może za krótki czas schnięcia?). Dobrze jednak, że ukazały się następne częstochoviana i miasto wspiera finansowo takie projekty. W tym roku zobaczymy prawdopodobnie trzeci tom pt. „Jura na dawnej pocztówce”.

OSTATNIA PREMIERA

W połowie grudnia odbyła się ostatnia premiera roku w Teatrze im. Mickiewicza. Spektakl reżyseruje sama Krystyna Janda, a jest nim „Na szkle malowane” według scenariusza Ernesta Brylla i Katarzyny Gaertner. To najbardziej widowiskowe przedstawienie przyciąga wielu widzów nie tylko dla osoby reżysera. Folklorystyczna opowieść o życiu harnasia, pełna zbiorowych scen tanecznych (aktorzy śpiewają na żywo), dynamiki, góralskiego wigoru (gra autentyczna podhalańska kapela) kojarzy się bardziej z musicalem, a te pojawiają się u nas od święta. Podczas, gdy w gmachu przy ulicy Kilińskiego trwa show, dyrektor teatru, Marek Perepeczko, wymienia stare, zniszczone okna na nowe, plastikowe. Jak Kazimierz Wielki – zastał Polskę drewnianą, zostawił plastikową. (sb)

GDZIE KUPIĆ ALEJE?

Poniżej podajemy wykaz miejsc,

w których można nabyć **aleje 3**:

Biblioteka Publiczna, al. NMP 22 (hol)

Filharmonia Częstochowska

OPK „Gaude Mater”

Teatr im. A. Mickiewicza

Miejska Galeria Sztuki

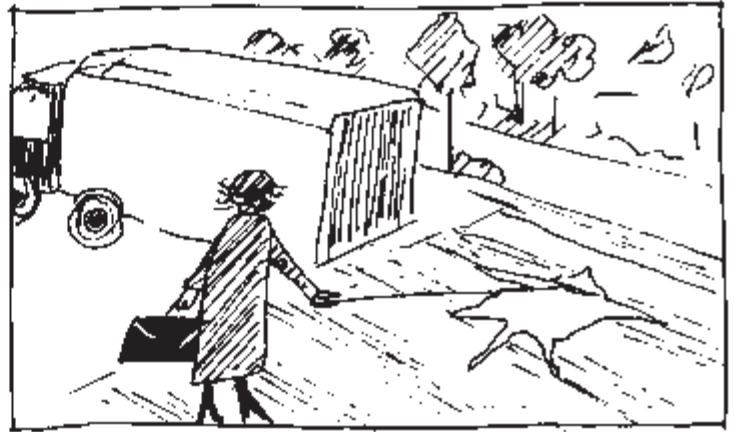
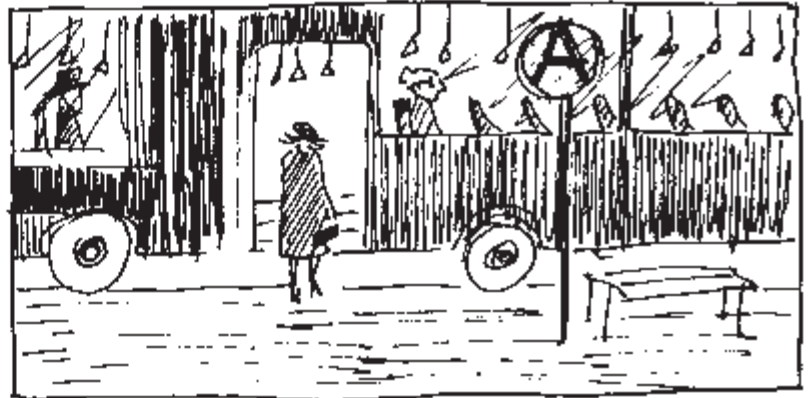
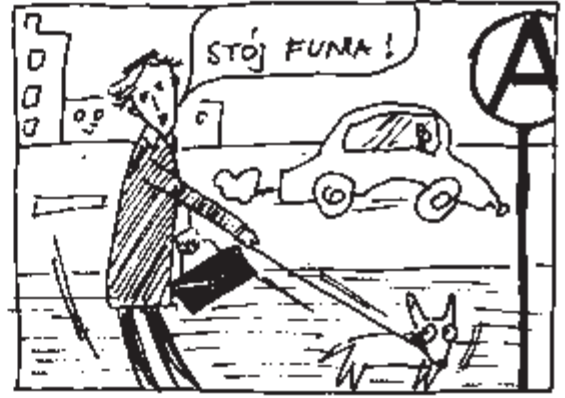
Księgarnia „Tania Książka”, ul. Focha

Galeria „Art Caffé”, ul. Focha 16

Galeria „NOVA”, al. Kościuszki 7

FUH „MOL” – sklep, ul. Jasnogórska 19

funia



Stochno 2000



Wspomina

ADELA CZAPLANKA

NAJDAWNIEJSZE WSPOMNIENIE? BYŁAM wcześniej w innych teatrach, ale tamta atmosfera mi nie odpowiadała. W Rzeszowie np. nie konweniował mi brak chodników. A w Częstochowie zatrzymałam się jadąc do rodziny – do Rybnika – i zostałam tu do dziś. To już prawie pięćdziesiąt lat, z czego trzydzieści na scenie. Miałam w sobotę gości i jeden z nich, dziennikarz, mówi do mnie tak: „Właściwie, Ada, to ty jesteś weteranką”. No tak, trzydzieści lat a la long w jednym teatrze i nie znudziłam się publiczności. Bo czasem, wie pani, to się człowiek znudzi. Więc jednak zaakceptowali tę moją iskrę bożą i ten mój ździebko talent. Zaakceptowała mnie publiczność. Na straganach, gdzie kupuje, mówią mi – „My przychodziliśmy

na nazwisko”. To, że zostałam aktorką, to było moje powołanie – żebym przekazywała i dzieciom, i młodzieży, i dorosłym, którzy przychodzili do teatru, to co myślę i jak myślę. I mnie się wydawało, że trochę tej iskry bożej, jak mówią, miałam. No i dlatego mnie pamiętają.

Atmosfera tutaj? To była jedna wielka rodzina. Ludzie byli różnego gatunku, z różnymi charakterami, ale to było coś fantastycznego. Kiedy była pogoda, chodziliśmy na basen. Chłopcy kocz przynosili, egzemplarze sztuki pod pachą i tam uczyliśmy się ról. Wszystkim, cośmy mieli, to się dzieliśmy. Te czasy nie dadzą się opisać, już nie wrócą. Bardzo się przywiązywałam do zespołu, do ludzi. Żyłam z nimi, rozmawiałam na różne tematy – nie na polityczne – na wszystkie życiowe tematy. To była wielka pomoc, jeden drugiemu pomagał, a reżyserzy przychodzili i zdumieni oczy otwierali, że każdy przygotowany. Przychodzili nowi ludzie, po szkole, i oni dostosowywali się do nas. Młode dziewczyny się do nas przyczepiały, mówiły do mnie: „Niech pani będzie moją opiekunką, ja panią kocham”. To trudno opisać, mnie po prostu brak słów. Wszystko było u zenitu. Dyrekcja mogła chodzić dumna i blada – sobota dwa przedstawienia, niedziela trzy, bo na wyjeździe jedno. Ludzie pchali się drzwiami i oknami. Był taki pan Ślęzak, organizator tak zwanego teatru objazdowego. Jak on trajlował te wszystkie kierowniczkę domów kultury, żeby tylko wszędzie było czysto, żeby była herbata dla zespołu. Jak on sprzedawał te nasze przedstawienia. A myśmy mieli rezultaty. Same do niego dzwoniły: „Jaką macie sztukę, przyjedziecie? No to już czekamy”. Do tego stopnia. Teatr częstochowski był lubiany, bo był dobrym, zdyscyplinowanym zespołem. Myśmy pracowali dla idei, dla siebie, dla teatru. To była jedna wielka rodzina. Nie było podziału: zespół techniczny i my, aktorzy. Teraz poumierali i aktorzy, i ci z zespołu technicznego. Taki pan Piotruś, rekwizytor – on był wyjątkowy. Powiedział, że musi umrzeć na scenie, i umarł na scenie.

Nieporozumienia też się zdarzały. Dowcipy kolegom się robiło, ale takie dopuszczalne. Chociaż... Kiedyś grał z nami pan Winkler w „Aszantce”. Jest taka scena na kameralnej: ja stoję przy nim, pytam o coś, a on otworzył rękę, spojrzałam na tę jego dłoń i był tam guzik odewany od płaszcza. Aszantka się zorientowała, że jest coś nie bardzo, że ja zdrętwiałam, zaczynam się śmiać i uratowała sytuację. Proszę sobie wyobrazić: pan Winkler, stary wyga, stary, przedwojenny aktor, nota bene bardzo dobry

aktor, a ja młoda dziewczyna (bo byłam piękna i młoda kiedyś, dzisiaj zostałam tylko piękna), więc proszę sobie wyobrazić, idę ja do garderoby i robię mu awanturę. Mówię: „Jak pan śmiał! Młodej aktorce na scenie kameralnej, gdzie każdy ruch, każdy gest jest widoczny, pan mi zrobił taki numer”. Pani wie, że on zgłupiał, że młoda aktorka przyszła mu zrobić awanturę – przeprosił mnie.

Publiczność? Garnęła się do teatru. Ludzie pchali się drzwiami i oknami. I dorośli, i młodzież, i dzieci. Ja te sztuki dla dzieci uwielbiałam. Ja z dziećmi rozmawiałam. Na „Królowie Śnieżce” starsze dzieci po prostu wisały przy reflektorach na balkonie. Mówię: „I znów jestem najpiękniejszą na świecie”, a jeden chłopak z tego balkonu – „Uch, ty stara wiedźmo” – z takim płaczem to powiedział. Jak ja mogłam zrobić taką straszną rzecz Śnieżce. A miał może ze czternaście, piętnaście lat. Pani wie, jak dzieci przeżywały? Jak się grało, to nie to, że się odbębniło. Bo dla dzieci się grało, sercem się grało. Potem się idzie ulicą, a dzieci mówią: „A bo pani jest baldzo dobla, pani tylko głała”. No i co pani na to?

Moi mistrzowie? Proszę pani, ja chodziłam po papierosy takiemu papciowi Mieczysławowi. Był papcio Otrębski, ja byłam jego oczkiem w głowie. No i pan Orliński. Mówił: „Nie jesteś krowienta, będą z ciebie ludzie, pójdiesz w górę”. Takie były słowa Orlińskiego, no i spełniły się. A z kobiet, dla mnie ogromnym zaszczytem było, że ja grałam z panią Marią Malicką – w „Grzesznikach bez winy”.

Nie, nie chodzę do teatru. Ja tam teraz nikt nie znam. I nie byłam po odnowieniu teatru – namawiają mnie, żeby pójść, ale nie mogę się przemóc. Bo we mnie za głęboko tkwią dobre czasy. Tamte dobre czasy, które dzieliłam z ludźmi, których już nie ma. Ja w Skolimowie mam trzy osoby, a oprócz tego prawie wszystkich tam znam. Z tutejszymi kolegami mam kontakt do tej pory, ale do tego mojego przybytku kultury i sztuki nie wchodziłam, bo już nie było tej atmosfery. Dlatego, że zmieniły się czasy – nie ma kultury. A wtedy kultura była na piedestale. Ja mogę tylko pisać, jak sobie przypominam tamte czasy.

Wysłuchała Małgorzata Kaczanowska ■



*Mieszczanin
szlachcicem
rok 1959
Adela Czaplanka
i Jan Piątkowski*



Fot. Piotr Dłubak – ze spektaklu „Na szkle malowane” (reprodukcje zdjęć barwnych).



ul. Kilińskiego 15, tel 324 83 46

„Na szkle malowane”

Śpiewogra Ernesta Brylla i Katarzyny Gaertner. Reżyseria – Krystyna Janda. Żywiolowy taniec i znane, świetne, folkowe piosenki budujące magiczną opowieść o Janosiku. Nowe twarze, dużo młodzieży i znakomita góralska kapela BUNDZ z Poronina „na żywo” w każdym spektaklu. Wspaniała scenografia i kolorowe kostiumy Macieja Preyera, układy taneczne autorstwa Michała Jarczyka oraz przygotowanie wokalne pod kierunkiem Romany Krebsówny.

Spektakle: 12, 13, 14, 26, 27, 28 stycznia 2001 r.

„Latający lekarz”

Moliera, jednoaktówka w konwencji komedii dell'arte.

Reżyseria – Marek Śłosarski.

Spektakle: 23, 24, 25 stycznia.

Edukacyjna scena inicjatyw aktorskich. Scena Histrion.

„Pamiętnik wariata” wg Mikołaja Gogola

Wykonanie – Antoni Rot, opieka artystyczna – Marek Perepeczko, scenografia – Stanisław Kulczyk.

Przejmujący dramat o samotności, wyobcowaniu, inności i tolerancji. Klasyka literatury światowej w kameralnym ujęciu.

Premiera 6 i 7 stycznia,

spektakle: 9, 10, 11, 12, 30, 31 stycznia.

Ania z Zielonego Wzgórza – 3, 4, 5, 9, 10, 11, 23, 24 stycznia.

„Kot w butach” – 17, 18 i 31 stycznia.

„Mayday” – 19 stycznia.

„Dziennik panny służącej” – 12, 13, 14 stycznia.

„Szczęściarz” – 20 i 21 stycznia



5, 6.01. Koncerty noworoczne – sala koncertowa. Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Częstochowskiej, Jerzy Swoboda – dyrygent, Grażyna Brodzińska – sopran, Bogusław Morka – tenor.

12.01. godz. 9.00 Koncert szkolny „Z uderzeniem w kocioł” – sala koncertowa. Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Częstochowskiej, Jarosław Lipke – dyrygent, Andrzej Michalak – kotły. Program: J. Haydn – *Symfonia G-dur nr 94 cz. II*, W.A. Mozart – *Uwertura do opery „Urowadzenie z Seraju”*, O. Goster – *Capriccio na kotły*.

15-19, 22.01. Audycje muzyczne dla dzieci „Imieniny Pani Trąbki” sala kameralna.

19.01. godz. 19.00 Koncert symfoniczny – sala koncertowa. Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Częstochowskiej, Jerzy Swoboda – dyrygent, Tamara Granat – fortepian, Waldemar Malicki – fortepian. Program: F. Poulenc – *Koncert na 2 fortepiany*.

21.01. Koncert zespołu „Pod budą” – sala koncertowa.

2.02. godz. 9.00, 11.00 Koncerty szkolne „Muzyczny karnawał” – sala koncertowa. Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Częstochowskiej, Szymon Bywalec – dyrygent, Ludomira Grądzman – fortepian, Henryka Zasempa-Kozera – fortepian. Program: H. Berlioz – *Karnawał rzymski*, A. Dwořák – *Karnawał*, C. Saint-Saens – *Karnawał zwierząt*, J. Strauss – *Marsz Radeckiego*.

9.02. godz. 19.00 Koncert symfoniczny – sala koncertowa. Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Częstochowskiej, Michał Nesterowicz – dyrygent, Włodzimierz Gołębiowski – klarnet, Mieczysław Hłond – fagot. Program: C. Stamitz – *Koncert podwójny B-dur na klarnet i fagot*.

10.02. G. Verdi „*Traviata*” – sala koncertowa.

14.02. E. Kalman „*Księżniczka czardasza*” – sala koncertowa.

19-23, 26.02. Audycje muzyczne dla dzieci „Zima dźwiękiem malowana” – sala kameralna.

23.02. – godz. 19.00 Koncert symfoniczny – sala koncertowa. Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Częstochowskiej, Jerzy Salwarowski – dyrygent, Hubert Salwarowski – fortepian. Program: J. Brahms – *I Koncert fortepianowy d-moll op. 15*, J. Brahms – *III Symfonia F-dur op. 90*.



5.01. godz. 19.00

wernisaż wystawy multimedialnej Jacka Włodarczyka.

8.01. godz. 19.00

program Sceny „Błazen”.

12.01. godz. 19.00

Koncert zespołu „Cotton Cat” – ballady autorkie i pisenki irlandzkie.

18.01. godz. 19.00

Galeria kawiarni „Klub Wiedeński” – wernisaż wystawy poplenerowej „Śladami Moniuszki”. Współorganizator: okręg warszawski ZPAP.

14.01. godz. 16.30

Jasna Góra - Sala Rycerska

KONCERT KOŁĘD

wykonawcy: Zespół wokalny „Subito”, Chór Chłopięcy „Gaude Mater”

dyrygent: Mariola Jeziorowska
Zespół wokalny „La musica corale” – dyrygent: Beata Ciemny.

17.01. godz. 17.00

Recital wokalny Adama Blachnickiego.

20.01. godz. 19.00

Koncert Jazzowy: Jazz Band Ball Orchestra & Janice Harrington (USA).

22.01. godz. 19.00

program Sceny „Błazen”.

26.01. godz. 18.00

wernisaż III wystawy zbiorowej Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych im. W. Wereszczyńskiej.

31.01. godz. 18.00

Turniej Jednego Wiersza o nagrodę Centrum Amatorskiego Ruchu Artystycznego oraz koncert w wykonaniu uczniów Zespołu Szkół Muzycznych w Częstochowie.

2.02. godz. 19.00

Program Sceny „Błazen”.

7.02. godz. 18.00

Wieczór poetycki Rafała Salamuchy.

16.02. godz. 18.00

wernisaż wystawy malarstwa Grażyny Lubaszki.

19.02. godz. 19.00

Program Sceny „Błazen”.

22.02. godz. 19.00

Galeria kawiarni „Klub Wiedeński” – wernisaż wystawy malarstwa Agnieszki Kwapisz.

27.02. godz. 19.00

Koncert promocyjny II Festiwalu „Rozrywkowa Muzyka Akordeonowa – Częstochowa 2001” wykonawcy:

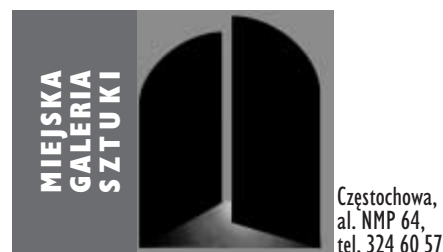
Piotr Biazik - akordeon

Paweł Smorąg - sax, flet

Dariusz Herman - instr. klawiszowe

Mariusz Migas - perkusja

Michał Walczak - gitara.



12.01. – 25.02. Intergrafia – światowa wystawa laureatów Międzynarodowego Triennale Grafiki Kraków 2000 wszystkie sale

Wystawa laureatów 40 międzynarodowych konkursów graficznych organizowana w ramach Międzynarodowego Triennale Grafiki w Krakowie, wystawa była pokazana w Galerii Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach.

W wystawie bierze udział 164 artystów z 37 krajów.

Prof. **Witold Skulicz** komisarz generalny MTG: „[...] grafika w paradoksalny sposób kontynuuje swoje tradycje i przy tym potrafi wprząść do arsenału swoich środków nowe media [...].

Krytyków zapatrzonych w konceptualne nakazy, które wymagają szokowania ciągle nowością, niepodporządkowania się niczemu, a przede wszystkim jakiegokolwiek funkcji społecznej sztuki, drażni że grafika podąża swoją własną drogą, biorąc z bieżącej rzeczywistości to co chce, że nie odczuwa potrzeby porównywania się do innych dziedzin ani do ich tempa ewolucji i przemian [...] **Intergrafia** w jednym miejscu zbiera, prezentuje i dokumentuje dokonania wszystkich liczących się imprez tego typu [...]”.

Wystawa prezentuje wciąż trwający proces ewolucji i zmian współczesnej grafiki warsztatowej, której artystyzm i perfekcja wykonania często zadziwiają.



BIBLIOTEKA GŁÓWNA
(al. NMP 22, tel. 324-20-95):

11.01. – 28.02. – wystawa ph. *Czasopiśmiennictwo Częstochowy* hol, IIp.

11.01. godz. 11.00, 18.01. godz. 11.00 oraz 25.01. godz. 11.00 – *Uzależnienia nikotynowe*. Prelekcja dr Pawła Gałkowskiego z Poradni Antynikotynowej dla uczniów szkół licealnych i gimnazjalnych – II piętro (sala odczytowa).

01.02. godz. 11.00 i 22.02. godz. 11.00 – *Użytki alkoholowe*. Prelekcja terapeutki, Janiny Cholewińskiej, z Ośrodka Terapii Uzależnień od Alkoholizmu dla uczniów szkół gimnazjalnych i licealnych – II piętro (sala odczytowa).

FILIA BIBLIOTECZNA NR 6
(ul. Orkana 56-A, tel. 363-93-32):

Ferie zimowe w Bibliotece:

08.02. – *Walentynkowe niespodzianki*

15.02. – *Tangram to sposób na nudę*

FILIA BIBLIOTECZNA NR 7
(Aleja Pokoju 16, tel. 323-27-26):

Ferie zimowe w Bibliotece:

08–14.02. – Otwarty konkurs literacko-plastyczny ph. *Moja Walentynko* – na najładniejsze życzenia z okazji Dnia Św. Walentego.

15.02. godz. 10.00 – Zakończenie konkursu, rozdanie nagród i dyplomów, wystawa prac.

FILIA BIBLIOTECZNA NR 8
(ul. Książkowa 2, tel. 361-43-27):

05 – 16.02. – Ferie zimowe w Bibliotece: codzienne wyświetlanie bajek na wideo i rozwiązywanie krzyżówek.

FILIA BIBLIOTECZNA NR 9
(ul. Nowowiejskiego 15, tel. 324-53-64):

22.02. – Konkurs dla dzieci z klas III szkół podstawowych ph. *Czy znasz polskie legendy?*

FILIA MUZYCZNA
(Al. Niepodległości 41, tel. 363-39-37):

5 – 16.02.

(codziennie w godz. 14.00-16.00)
– Słuchanie *Pana Tadeusza* Adama Mickiewicza w interpretacji artystów scen polskich.

ODDZIAŁ DLA DZIECI I MŁODZIEŻY
(ul. Kościuszki 4, tel. 324-22-54):

31.01. – Zabawa karnawałowa dla dzieci z Przedszkola Nr 36 w Częstochowie na podstawie bajki pt. *O żabkach w czerwonych czapczkach*.



W DOBIE MUZYKI DANCE I DISCO polo powstała w Częstochowie w roku 1994 w Szkole Piosenki i Tańca **Dziecięca Rewia „Akcent”**, aby pokazać, że forma przejawiająca ambicje i pracę ma prawo istnieć na muzycznym rynku. Jest to nowa forma przekazu muzyki i tańca w wykonaniu dzieci. Patronat nad zespołem przyjął Młodzieżowy Dom Kultury w Częstochowie. Założycielem oraz dyrektorem artystycznym zespołu jest Krzysztof Fibich. Większość piosenek tworzy wspólnie z żoną, Magdaleną Fibich, która nie tylko pisze teksty, ale także projektuje kostiumy. Przygotowaniem wokalnym zajmuje się Bożena Trześniewska, natomiast choreografię opracowuje Małgorzata Fertacz, która przygotowuje artystów od samego początku istnienia „Akcentu”, i Dagmara Marzyńska. Dorobek muzyczny zespołu to czterdzieści osiem piosenek nagranych w studiu (w tym utwory musicalowe). Jediną formacją zbliżoną do „Akcentu” jest Rewia Dziecięca „Sylaba” z podwarszawskiego Wyszkiwa. Krzysztof Fibich jest także nauczycielem w Szkole Podstawowej w Olsztynie, gdzie m.in. prowadzi zespół wokalny. Niektórzy uczniowie z tego zespołu trafili do „Akcentu”.

W rewii są dwie grupy – w sumie czterdzieści osób: przygotowawcza (dzieci od lat 5) i koncertowa (dzieci od 8 do 17 lat). W grupie przygotowawczej można wyróżnić grupę przedszkolną, w której dzieci uczą się wszystkiego w ramach zabawy. Do grupy koncertowej mogą się zakwalifikować po roku przygotowywać. Tu zabawa się kończy, a zaczyna praca. Grupa koncertowa dzieli się na młodszą i starszą, w których dzieci muszą mieć odpowiedni wzrost. Efekt sceniczny jest możliwy dzięki ciągłej pracy choreografów, scenografów i oczywiście młodych artystów. Tu kryje się entuzjazm i samozaparcie. Wszystko musi pasować do siebie kolorystycznie, musi tworzyć jedną całość, którą wypełniają dzieci. Członkami zespołu są głównie dziewczęta.

Artyści pasjonaci

Parweł Gładys

Piosenki nie są wykonywane na żywo, jest to spowodowane wymaganiami oddechowymi, gdyż nie da się śpiewać robiąc np. gwiazdę lub szpagat. Materiał na kostiumy, sprowadzany z różnych miast polskich, dobierany jest szczególnie skrzętnie. Kolor, faktura i jakość materiałów nie może budzić zastrzeżeń ani kłopotów. Rewia Dziecięca „Akcent” prowadzi regularne próby dwa razy w tygodniu w Publicznej Szkole Podstawowej nr 54 przy ul. Kukuczki. Na te próby dzieci, także spoza Częstochowy, są dowożone przez rodziców.

„Zespół jest amatorski (...), ale nie w pełnym tego słowa znaczeniu (...), dlatego, że dążymy do profesjonalizmu (...). Dzieci pracują z zawodowcami i muszą nauczyć się tego, co robią zawodowcy (...)” – mówi Krzysztof Fibich.

Rewia ma pięcioletni staż koncertowy – w tym czasie dała około 150 przedstawień. Pierwszy rok poświęcony został pracy nad warsztatem, nauce i przygotowaniom do wyjścia na scenę. Zespół koncertował nie tylko w Polsce. Sceny zagraniczne to m.in. Festiwal Międzynarodowy w Rydze na Łotwie. Poza granicami „Akcent” był – można rzec – ambasadorem kultury polskiej i dla odmiany zaprasza zespoły z zagranicy. Rewia Dziecięca wydała płytę kompaktową i kasety. Występowała na naszych największych scenach Częstochowy tj. w filharmonii oraz Teatrze Dramatycznym im. Adama Mickiewicza. Poza Częstochową dzieci były m.in. w Warszawie (Pałac Kultury i Nauki oraz Teatr Wielki) i Kielcach (Kieleckie Centrum Kultury).

Dotychczas największym osiągnięciem Rewii była nagroda Redakcji Programów Dziecięcych Programu I Telewizji Polskiej w postaci reprezentowania TVP na VIII Międzynarodo-

wym Telewizyjnym Dziecięcym Festiwalu Muzyki POP „Saules Zakis 2000” (Słoneczny Zajęczek) w Rydze. Rewię „Akcent” można zobaczyć w programach TVP: „Każdy gra inaczej”, „Kleks”, „Tęczowy Music Box”, „Małe Musicale” oraz w „Szkole na wesoło”. Zespół jest „w trasie” przez cały rok, a sezon zaczyna się dla niego w kwietniu. Celem Rewii jest rozwój tanecznych i muzycznych umiejętności dzieci i kształcenie ich wrażliwości estetycznej. Poza piosenkami dzieci uczą się tańca nowoczesnego, podstaw techniki tańca klasycznego, emisji głosu oraz układów choreograficznych.

Występ Dziecięcej Rewii „Akcent” warto obejrzeć. My prezentujemy w „Alejach” zdjęcie z próby grupy przygotowawczej w sali lustrzanej. Lustra są po to, by mali artyści mogli kontrolować siebie sami. Jest to metoda samokrytyki, która przydałaby się nie tylko na tych zajęciach. Zajęcia prowadzone są według stałego planu. Wszystkie trwają po 45 minut. Na początek ćwiczenia rozgrzewające i rozciągające, potem konkretny taniec, następnie nauka śpiewu. Na zakończenie ćwiczenie całego układu,

zajmujące tyle czasu, ile akurat potrzeba. Przed występem na próby przeznaczają się znacznie więcej czasu. Przeważnie trening układu trwa około 1,5 godziny. Odbywa się on z podziałem na grupy. Tylko sam układ ćwiczony jest wspólnie, gdyż młodsze dziewczynki uczą się od dziewcząt z grupy starszej. Pomimo zmęczenia dzieci starają się być uśmiechnięte i nie narzekają. Zanim wejdą na scenę czeka je jeszcze mnóstwo pracy, ale kiedy przyjdzie czas występu i włożą kostiumy, to pokażą na co je stać. Wśród braw.

Najdłużej w zespole (od początku jego istnienia) jest Katarzyna, córka założyciela „Akcentu”. Kolejne dziewczynki z najdłuższym stażem to Ewa (sześć lat), Marlena i Monika (pięć) oraz Agata, Anna i Paulina (ponad dwa lata). Jak widać, nie jest to łatwa praca. Te dziewczęta (i ich rodziców), które wytrzymały więcej niż dwa lata można policzyć na palcach. Co jest tego powodem? Słomiany zapal? Będzie fajnie, a po miesiącu okazuje się, że to nie zabawa. To jest ciężka praca, a robienie kariery – poważną sprawą!

Wszystkie dziewczęta starsze stażem uważają, że praca w zespole daje im satysfakcję i radość. Uwielbiają występować, a co za tym idzie podróżować i zwiedzać, nie tylko Polskę, ale i inne kraje.■



phot. autor

CZEKAJĄC NA

GALERIE

CZYLI – SAMI NIE WIECIE, CO POSIADACIE

Władysław Ratusiński

MUZEALNICY TO NARÓD BARDZO sympatyczny – ale bywa, że wielce kłótlivy. W Poznaniu, w Muzeum Narodowym, kłóca się (a przynajmniej do niedawna to czynili), kto ma zasiadać na dyrektorskim stolcu. Poprzedni dyrektor został odwołany. Wspaniałe nowe skrzydło gmachu czeka na otwarcie i doczekać się nie może. W międzyczasie – cóż, wszędzie się może zdarzyć – znika z Galerii jedyny Monet. Czujna obsługa stwierdza, że w ramce, w której był oryginał, ktoś umieścił jakąś mizerną kopię czy reprodukcję. Gmach zamknięto – zwiedzających też – na parę godzin przynajmniej. Mnie również mogli zamknąć – bo się właśnie wtedy do Muzeum wybierałem. Śledztwo w toku. W telewizji i w prasie trochę szumu.

Ale przecież sponsorzy „Alej” życzą sobie, by było o Częstochowie. Więc będzie. Częstochowskie Muzeum obchodzi właśnie 95-lecie. Warto by przy tej okazji przypomnieć jego historię. Jednak teraz zajmę się niektórymi aspektami dziejów najnowszych.

Ładnych parę lat temu dyrektorem został Historyk Sztuki. Nie zarządził długo miejsca na tym stołku. Nie pozwolono mu uporać się z natłokiem zaległych spraw z minionej epoki. Miano mu za złe na przykład utrzymywanie w Ratuszu dawnej wystawy, w której historia ziemi częstochowskiej ukazana była z perspektywy „dyktatury proletariatu”. Pominąwszy niezbyt szczęśliwą aranżację i ideologiczne przegięcie było tam sporo interesujących dokumentów historii.

Wystarczyło rzecz przepracować, uzupełnić, zmienić ową aranżację niefortunną i sfatygowaną – i ekspozycja historyczna mogła funkcjonować. Dopóki nie wymyślono by czegoś lepszego. Ale nie. Dyrektora doprowadzono do abdykacji.

Nowy szef miał pomysły. Miało być muzeum żywe. Ratusz – zgodnie z życzeniem ówczesnych miejskich władz – miał wrócić do swej ratuszowej funkcji – głównie tej reprezentacyjnej. Przy okazji ekspozycję historyczną zlikwidowano, a zbiory przyrodnicze przeniesiono do Złotego Potoku. Opróżnione ratuszowe sale udekorowano obrazami z muzealnej kolekcji i zaczęto w nich organizować wieczory z gwiazdami i świetami, skądinąd ciekawe. Dużymi nakładami ładnie wyremontowano pawilon wystawowy w parku, zostawiając jednak w stanie ruiny drugi pawilon i chodnik podziemny muzeum górnictwa rud.

Dyrektor dłuższy czas opierał się atakom, wreszcie przeciwnicy mogli podskoczyć z radości. Dyrektora odwołano. O nowych rządach na razie trudno coś powiedzieć, bo sprawa jest świeża.

W poprzednich latach – i tu dochodzę do szczególnie interesującego mnie tematu – praktycznie zlikwidowano Galerię Malarstwa Muzeum Częstochowskiego! Początki zbiorów sztuki sięgają lat pięćdziesiątych. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych kolekcja ta była tworzona z dużym znanstwem i w miarę możliwości finansowych systematycznie powiększana. Przeznaczono wreszcie

Od autora:

Tym artykułem chcę rozpocząć cykl skłaniający do myślenia i rozmów o kulturze w naszym mieście. Wyrażane w tych tekstach opinie są wyłącznie moje i wszelkie ewentualne doszukiwanie się inspiracji ze strony innych osób lub instytucji byłoby pozbawione podstaw. Przepraszam, jeśli kogoś uraziłem – jednak są to sprawy tak ważne, że trzeba o nich mówić otwarcie, bez zbytnich uprzejmości. Katalizatorem powstania artykułu stała się zachęta wydawcy i sponsora „Alej”, skierowana pod adresem osób publikujących w nich do ostrzejszego wyrażania krytycznych sądów. Mam nadzieję, że efekt mojego pisania nie będzie taki, jak w wierszyku cytowanym kiedyś przez Kisiela: *Stomma z Kisielewskim pisał memoriały, Smrodu z tego dużo, a pożytek mały.*

Obraz nie istnieje w naturze

Marek Czarnołęski

Wystawa twórczości wybitnej malarki krakowskiej – Anny Ryś-Rzepińskiej w galerii „FOYER” Teatru Dramatycznego im. A. Mickiewicza, z cyklu: „W kręgu koloryzmu polskiego”

AUTORSKI CYKL WYSTAWIENNICZY „W kręgu koloryzmu polskiego” realizuję w różnych miejscach ekspozycyjnych Częstochowy już od prawie dziesięciu lat. Stąd stała współpraca z Muzeum Częstochowskim, prywatną Galerią Sztuki Andrzeja Patrzyka, Ośrodkiem Promocji Kultury „Gaude Mater”, Muzeum Archidiecezjalnym, Akademickim Centrum Kultury, Teatrem Dramatycznym, Biblioteką Publiczną. Instytucje te miały zaszczyt gościć w swych salach sztukę współczesnych, znaczących artystów: Stanisława Łyszczarza, Stanisława Czajki, Ireny i Tadeusza Dominików, Haliny i Leona Michalskich, Hanny, Heleny i Jana Cybisów, Moniki Żeromskiej, Jana Świderskiego, Czesława Rzepińskiego, Jerzego Wolffa, Jadwigi Lesieckiej, Adolfa Wajncetla-Wańskiego i Romana Harajdy, Marii i Juliana Siemieńskich.

Wśród tych postaci nie mogło zabraknąć Anny Ryś-Rzepińskiej. Druga część nazwiska artystki została już w tym tekście wymieniona. Pani Anna nie jest córką cenionego malarza, rysownika, profesora Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie – Czesława Rzepińskiego (co mogą sugerować daty urodzin obojga artystów), lecz żoną, która wiernie kontynuuje dzieło życia męża.

Profesor zmarł w Krakowie, w roku 1995, mając dziewięćdziesiąt lat.

na jej eksponowanie oddzielną kamieniczkę w Alejach – wybudowaną niegdyś jako dom dla duchowieństwa prawosławnego. I w tej kamienicy sporą część zbiorów pokazywano na wystawie stałej, organizowano też od czasu do czasu wystawy zmienne. Zbiory nie zostały rozparcelowane po żadnych gabinetach, służyły szerokiej publiczności. Kompletowano też skromny zbiór dzieł artystów częstochowskich. Choć głównym celem było kolekcjonowanie grafiki, tworzone, jakby przy okazji, zbiory malarstwa XX wieku i tak powstała kolekcja na dobrym poziomie. Pamiętam, z jakim zdziwieniem, miłym zaskoczeniem komentowali zestaw dzieł wchodzących w jej skład profesowie wyższych uczelni plastycznych, uczestniczący w jasnogórskim plenerze malarskim na początku lat osiemdziesiątych. O randze tych zbiorów świadczą wypożyczenia na prestiżowe wystawy krajowe i zagraniczne oraz kwoty, na jakie organizatorzy tych wystaw ubezpieczali wypożyczone obrazy.

Przyjemnie i pożytecznie było przejść się od czasu do czasu po salach Galerii, odwiedzić starych znajomych. Stanisławski i Ruszczyk, Malczewski, Masłowski i Kamocki, Axentowicz, Wyczółkowski, Mehoffer, Rapacki, Hoffman, Weiss, Szczygliński, Mączyński, Wereszczyńska... Nie mogę z tego tekstu robić muzealnego katalogu ani nawet listy artystów.

Potrzebna jest lepsza informacja, reklama. Wielu częstochowian nawet nie wie, jakie dzieła sztuki posiada ich miasto. Częstochowa, do której przybywają ogromne rzesze ludzi, miała na głównym szlaku pątniczym ważne miejsce warte odwiedzenia.

Przypominam sobie wypowiedź odważnego i zaangażowanego artysty, który twierdził, iż umieszczenie zbiorów w kamieniczce było swego rodzaju zepchnięciem, przejawem komunistycznego lekceważenia polskiej sztuki. Dopiero przeniesienie do Ratusza miało odpowiadać randze kolekcji. Cóż za nieporozumienie! Właś-

nie w tej kamieniczce dzieła miały dobre warunki i mogły być spokojnie eksponowane. W salach Ratusza, podczas liczniejszych zgromadzeń, zebrani opierali się o sosnę Wyczółkowskiego, zawadzali krzesłami o ozdobne ramy. Nie mówiąc już o tym, że tylko stosunkowo mała część zbiorów mogła tam być pokazana. Teraz doszły mnie słuchy (nie sprawdzałem tego jeszcze osobiście), że w ogóle obrazy pozdejmowano. Jeśli nowa dyrekcja podchodzi poważnie do swej misji, jeśli władze miasta traktują kulturę serio – pierwszym zadaniem powinno być właściwe wyeksponowanie kolekcji sztuki, a także jej systematyczne powiększanie. To wprost kompromitacja i skandal na miarę ogólnopolską, aby przez tyle czasu nie uregulowano sprawy udostępnienia tak ważnych zbiorów. W dodatku co jakiś czas wyskakiwano z pomysłami wynajęcia ratusza, a to na restaurację, a to na salon samochodowy czy coś w tym rodzaju. Krytyka w prasie powodowała chwilową rezygnację z tych zamiarów. Podobne plany zagrażały też budynkowi Galerii, której sale od lat są puste. Podczas gdy Radom potrafi przeznaczyć dla galerii oddzielny budynek, częstochowskie zbiory leżą w magazynie.

Przy okazji warto też przypomnieć myśl wykorzystania dla muzeum i planowanego Centrum Sztuki Współczesnej pięknego zabytku budownictwa przemysłowego, który niestety przy ulicy Waszyngtona, obok Banku Gospodarki Żywnościowej, a także projekt zarezerwowania terenu obok obecnej Galerii na jej przyszłą rozbudowę. Obie te sprawy nie znalazły, niestety, żadnego odzewu w kołach decyzyjnych.

Miasto, które szczyci się swoją wyjątkową rolą, które drze szaty nad utratą statusu stolicy województwa, nie może się zdobyć na właściwe potraktowanie dziedzictwa kultury. Miasto paru wyższych uczelni, dążące do erygowania uniwersytetu, skazuje na niebyt Galerię Sztuki w swoim Muzeum. ■

Malarka wspomina: „[...] Żyliśmy razem dwadzieścia dwa lata, a o podobnej wrażliwości może świadczyć fakt dużej harmonii, jaka była w naszej rodzinie. Pewnie, że przez ten czas zdarzyło się nam poróżnić, lecz problemy staraliśmy rozwiązywać dzięki kompromisom. A musieliśmy zaczynać, jak każda rodzina, od problemu braku mieszkania i życia z dwójką małych dzieci w wynajętym pokoju z kuchnią [...]”.

Usiłowałam przekonać panią Annę do rozległych i szczegółowych, w miarę wyczerpujących zwierzeń, obejmujących życie rodzinne i twórcze, ale niestety nie udało się. Artystka niezwykle rozważnie i z pewnym dystansem dozręje rozmówcy zawartość przeżyć, doświadczeń. Oto, jak zaczęła swoją opowieść: „[...] Drogi panie Marku, mam nadzieję, że nie sprawię panu dużego zawodu pisząc moje przemyślenia dotyczące procesu powstawania obrazu, przypominając sobie wskazówki mojego męża, które zapamiętałam w trakcie rozmów toczonych w czasie tych długich lat wspólnego życia. Gdybym odpowiedziała na wszystkie proponowane przez pana zagadnienia, musiałby powstać duży elaborat, a na to nie ma czasu i nie wiem czy wszystkie problemy zainteresowałyby czytelników popularnego czasopiśma [...]”.

Już po tych kilku zdaniach wypowiedzi mogłem przypuszczać, iż malarka nie odniesie się wyłącznie do swej twórczości, a spojrzy na nią przez pryzmat i filtr estetyki poglądów, swego męża Czesława Rzepińskiego. Od Anny Ryś pragnęłam uzyskać zwierzenia jak najbardziej niezależne od postawy Rzepińskiego. Łudziłem się, iż skoro nie potrafię ujrzeć sztuki artystki obiektywnym okiem i pominąć w jej kształtowaniu roli profesora Rzepińskiego, to chociaż sama bohaterka obecnej edycji wystawy, zechce skupić się tylko i wyłącznie na sobie bez dygresji, porównań, odniesień do swego mistrza. Nie udało się nam obojgu. Zatem, niechaj artystka pełni rolę pani i gospodyni domu, wielbielki, uczennicy i żony, przedłużającej w swej intymnej, osobistej, nie

poddającej się złudnym modom twórczości, nadodczuwalność natury Czesława Rzepińskiego. Wyznań ciąg dalszy: „[...] Sztuką zainteresowałam się w liceum, aby pozbyć się celów utylitarnych, by zająć się procesem oderwania od siebie samej. Pokonanie trudności okazało się w życiu późniejszym niełatwe, pomimo wspaniałego przykładu mojego męża, dla którego sztuka była sprawą nadrzędną. Pracował prawie codziennie, mimo chorób, czy innych przeszkód [...]”.

Mogę sobie wyobrazić młodą adeptkę twórczości malarskiej w Krakowie, może jeszcze nieco zagubioną, niepewną tego co chce w niej zdziałać. Kraków, miasto oddychające zarówno dawną, historyczną, jak i współczesną sztuką, będący Paryżem Europy Środkowo-Wschodniej, nie był i nie jest środowiskiem łatwym dla zaistnienia artysty. Tylu ich tam jest, reprezentujących przeróżne, pochodne lub skrajne postawy twórcze. Profesorowie prowadzący autonomiczne pracownie akademickie zawsze pragnęli uzyskać prestiż w orbicie swych oddziaływań pedagogicznych. Pamiętajmy, iż przeważnie są to znani i wybitni artyści, którzy konkurują ze sobą jak sportowcy. W tym zgiełku, Anna Ryś uratowała swoją duchowość i intymność.

„[...] Obraz Rzepińskiego zobaczyłam będąc po pierwszym roku Akademii, w galerii przy ul. Floriańskiej. Działał na mnie, jako odbiorcę, bardzo silnie. Mimo, że nie zdawałam sobie sprawy jakimi środkami. Sądziłam, iż najmocniej przekonuje mnie sugestia oddania psychologii młodej dziewczyny siedzącej na krześle. Postanowiłam wybrać pracownię autora obrazu, by zgłębić tajniki powstawania dzieła. Reakcje negatywne dotyczące koloryzmu skończyły się już dość dawno, a ja należałam do innego pokolenia [...]”

Jakże silnym przeżyciem musi być u twórcy zaskoczenie połączone z zachwytem. Widać, iż potrafi pozostawić w psychice i wrażliwości artysty trwałe, nieodwracalne, ale i jednocześnie wspaniałe zmiany w pojmowaniu sztuki i w myśleniu o niej dzięki „nerwom” emocji, boskiego wręcz

ośnienia. Prawdopodobnie każdemu z bardziej czułych na bodźce zewnętrzne artystów, stan taki jest znany, a człowiek nie związany czynnie z procesem twórczym powinien w tę teorię uwierzyć. Chyba, że ktoś jest biernym, ale i bacnym i wrażliwym odbiorcą, wtedy doznania wewnętrzne dopuszczone zostają do sfery przeżyć nadrzędnych.

Czas dany artystce u boku jednego z najświetniejszych malarzy polskich w historii sztuki, Anna Ryś-Rzepińska umiała wykorzystać w pełni, stając się godną towarzyszką życia artysty o wielkiej charyzmie. Gdyby nie wspólne uczucie do tych samych lub zbieżnych wartości w sztuce, może życie twórców miałooby więcej nocy niż dni...? Czego można malarce pozazdrościć, oczywiście w pozytywnym kontekście cechy, popularnie ocenianej negatywnie? Wyłącznie obcowania z duchową osobowością Czesława Rzepińskiego, który przekazał młodej artystce najcenniejsze i w większości nieosiągalne dla nas, skarby wiedzy wyczarowywania, wydawałoby się niespotykanych barw i ich zestawień. A o nie przecież, z materia farb, winien malarz walczyć w pierwszej kolejności.

Pani Rzepińska rozważa dalej: „[...] Mój mąż powtarzał: obraz nie istnieje w naturze. Wszystkie stosunki muszą być przetransponowane na płaszczyznę i tam nabierają samoistnego znaczenia. Bardzo porywające było dla mnie, że tak śmiało przetwarzana rzeczywistość pojawiała się na płótnie. Często zdarzało się, że obraz powstawał długo, czasem wielokrotnie przemalowywany, a wcześniejsza koncepcja bywała radykalnie zmieniana. W tym pracowitym procesie powstawały skomplikowane konstrukcje barwne, silnie związane. Płaszczyzna obrazu równomiernie napięta, ale unikająca płaskiej dekoracyjności. W obrazie ważne są plany, a także dbałość o zachowanie dotknięcia pędzla, kształtu plamy, bo faktura w znacznej mierze warunkuje działanie koloru. Cień i światło wyrażone mogą być przez relacje ciepłe – zimne. Malowanie przypomina trochę dyrygowanie orkiestrą.

Mąż nazywał to orkiestracją powierzchni płótna [...]

Przyznam, iż określenie trafne i wyrażające syntetycznie to, co impresjoniści, postimpresjoniści, a wreszcie tzw. koloryści polscy usiłowali dokonać w malarstwie. Ci, którzy w duchu tego kierunku wciąż tworzą, dokonują nadal. Łatwiej powiedzieć, trudniej zrealizować. Ideał osiągnęli nieliczni,

„króla” sztuk plastycznych. Koloryzm to specyficzna odmiana malarstwa figuratywnego ze znacznym ładunkiem emocji abstrakcyjnych. Nazwa wprowadzie umowna i historyczno-szkolna, ale porządkująca znaczną część sztuki.

Anna Ryś sięga pamięcią do dawnych, ale dla niej jakże aktualnych wydarzeń...

Jednego mój mąż żałował, że tak niewiele stworzył kompozycji koncentrujących się na problemach formy. Zasugerował pan wcześniej, iż może realizuję linię twórczą męża. Trudno mi określić, czy kontynuuję styl swojego nauczyciela, ale wydaje mi się, że ciągle za mało pracy, wiedzy, czy może talentu, żeby osiągnąć podobne wyniki w dążeniu do namalowania prawdziwego dzieła [...]

Pamiętam, kiedy będąc w Krakowie w latach osiemdziesiątych, zaszedłem do Biura Wystaw Artystycznych „Bunkier Sztuki”. Akurat wizyta moja zbiegła się z wernisażem wystawy krakowskiego środowiska plastycznego. Oczywiście, uczestnikami ekspozycji byli państwo Rzepińscy. Artystów przywitałem przy wejściu do obszernej sali. Profesora zapamiętałem jako chodzącego wolno, podpierającego się laską, pana. Potem zagubiliśmy się gdzieś w tłumie publiczności. Przechodząc obok pejzaży Anny Ryś zdany, chcąc nie chcąc, na donośny głos komentujących dzieła widzów, zasłyszałem następującą opinię: „...Profanacja, jak tak można, przecież to malarstwo jest takie samo, jak u Rzepińskiego...” Od razu zaburzyła się we mnie świadomość, iż nie można przekreślać wypracowanych wspólnych poszukiwań malarskich, ignorować artystki, autentycznie wywodzącej się ze szkoły Rzepińskiego, jego żony, uczuciowo poddanej fenomenowi metafizycznemu swego „ojca” – patrona. Żyli wspólnie. Profesor Czesław Rzepiński w niepisanym testamencie ofiarował młodej malarce wolę-hipnozę, która wskazuje jej i będzie wskazywać, jak należy rozegrać każdą partię z życiem i sztuką, jako człowiek i artystka.

Tak Anna Ryś podsumowała naszą rozmowę: „[...] Jeżeli chodzi o podzielenie się refleksjami o życiu, to chciałabym przytoczyć zdanie z książki „Kłopot z istnieniem” H. Elzenberga: »trzeba żyć tak, jak się myśli; w przeciwnym razie, prędzej czy później, zaczyna się myśleć tak, jak się żyło (Bourget)«.

Dziękuję, pani Anno, za rozmowę. ■



„Chata w Wiśniowej” olej, płótno. 1989.

nawet wśród zainteresowanych i powołanych do estetyki kolorów. Proszę nie mylić koloryzmu z popularnym pojęciem barwności, kolorowości. Nie każdy obraz kolorowy jest kolorystyczny. Aby dzieło sztuki spełniało rolę kompozycji przynależnej do koloryzmu, musi spełniać określone kryteria tematyczne, formalno-warsztatowe. Inną grupę prac tworzą kompozycje wywodzące się z tej ikonografii i technologii, nawiązujące do niej, powstałe pod wpływem inspiracji

„[...] Mąż niechętnie zgadzał się z określeniem „kolorysta”. Mówił, że Tyccjan też postugiwał się kolorem. W rozmowach o starych mistrzach przekazywał ofiarowywany i skierowany ku nim kult, który został zaszczerpiony jeszcze przez Pankiewicza w Luwrze. Gamy jasne kolorystów pojawiają się u Rzepińskiego jako przetransponowane na gorące tonacje weneckie. Powstawały ferryczne pejzaże, martwe natury, portrety, akty, o których najwrażliwiej pisali ludzie pióra, jak np. Zofia Posmysz.

Popołudnie z Mistrzem

Janusz Mielczarek



PRZYJAZD ZDZISŁAWA BEKSIŃSKIEGO DO CZĘSTOCHOWY, z okazji drugiej już wystawy jego obrazów w Galerii Lonty Petry, był wydarzeniem, a – jak sądzę – również pewną sensacją na skalę nie tylko lokalną. Ten wybitny artysta unikający bywania na tzw. salonach, a nawet nie zaszczycający wernisaży wystaw własnych obrazów, tym razem – po usilnych namowach Sabiny i Romana Lontych – dał się skusić do opuszczenia swojej „betonowej dziupli” w wieżowcu na osiedlu Służewiec w Warszawie. Przyjechał do Częstochowy nobilitując tym gospodarzy galerii, a licznym przedstawicielom mediów i gościom stworzył niepowtarzalną okazję do rozmów o jego obrazach, pracy i sztuce.

Artystę tworzącego z dala od atmosfery kawiarzanych dyskusji i zawirowań środowiska artystycznego, postrzega się i przedstawia jako człowieka niedostępnego, milczka, niechętnego do zwierzeń. Jakże więc sympatycznym zaskoczeniem było, gdy przez kilka godzin częstochowskiej gościny – o wiele więcej niż było ustalone dla odbycia konferencji prasowej – okazał się twórcą niezwykle skromnym, otwartym, cierpliwym i pogodnym. Chętnie rozmawiał z dziennikarzami i wszystkimi, którzy tego pragnęli. Złożył kilkadziesiąt autografów i nie odmówił nikomu, kto chciał uwiecznić się z mistrzem, pozowania do fotografii.

Jak przyznał, bardzo przeżywał wyjazd do Częstochowy, ale tylko dlatego, że w ogóle rzadko gdziekolwiek wyjeżdża. Nie był jeszcze np. w Gdańsku czy Toruniu. Najlepiej czuje się w swoim mieszkaniu-pracowni, gdzie malując odpoczywa. Maluje przy świetle dziennym, słuchając muzyki ze swojej bardzo bogatej fonoteki. Czasem wieczorami rysuje. Ciekawy jest przyszłości, chciałby wyprzedzić czas, znaleźć się przynajmniej jakieś pół wieku do przodu. Jego syn – jak mówił – źle czuł się w teraźniejszości,

swoje miejsce widział w przeszłości, około dwieście lat temu.

Zdzisław Beksiński opowiedział też o fascynacjach swojego dzieciństwa, o tworzeniu w wieku czternastu lat wizji – jak mu się zdawało – idealnych miast dla szczęśliwych ludzi, o tym jak ojciec pragnął z niego uczynić sportowca, ukierunkowując go ostatecznie na architekturę, choć równolegle zdał również egzamin na Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie. Mówił także o tym, że myśli o kupnie sprzętu komputerowego, gdyż ten, którym posługiwał się jeszcze niedawno, tworząc serię słynnych grafik, które m.in. w październiku 2000 roku pokazane były w galerii częstochowskiego WOK przy Ogińskiego, dziś stał się już przestarzały i nie spełnia oczekiwań artysty.

Przed kilku laty jego były paryski marszand, Piotr Dmochowski, zaproponował artyście wydanie albumu autorskiego sugerując, aby wstęp do niego napisał... Lech Wałęsa. Kiedy malarz stwierdził, że przecież Wałęsa nie zna się na sztuce, Dmochowski odpowiedział, że to nie ma znaczenia, gdyż ma znane na Zachodzie nazwisko i dlatego album „będzie się sprzedawał”.

Przeciętnie dwa obrazy w roku Beksiński przeznaczają na aukcje na cele dobroczynne, choć gdyby chciał spełnić wszystkie życzenia, to brakowałoby mu dzieł, które zdoła w tym czasie namalować.

Zaskoczeniem dla redakcji jednego ze znanych kolorowych magazynów, która chciała zamieścić wywiad z malarzem ilustrowany jego fotografiami, było to, że nie posiada on garnituru, w którym wymyślono go obfotografować. Okazało się, że sportowa koszula i bluza, najbardziej lubiane przez artystę, nie były w stylu pisma i wywiad nie ukazał się do dzisiaj. I chyba słusznie, bo skoro artysta wobec stroju w jakim występuje jest dla redakcji sprawą drugoplanową, to po jakie licho zajmować się jakimś tam dodatkiem do marynarki.

A obrazy? Te, jak zwykle u Beksińskiego, „szarpią za trzewia”; tyleż odrzucają, co fascynują. Moim skromnym zdaniem: część z obecnie pokazanych w Galerii Lonty-Petry zdaje się opuszczać zaułki wyrafinowanych szarości i skrajnego turpizmu, dryfując ku odcieniom pogody, może nawet anegdoty? Ale jak jest naprawdę, trzeba się o tym przekonać osobiście, co można jeszcze uczynić do 15 lutego br. A tamto grudniowe popołudnie pozostanie wysmakowaną ucztą ze sztuką Zdzisława Beksińskiego, spotęgowaną po wielokroć obecnością Wielkiego Artysty. ■

Salonowe to i owo

Janusz Mielczarek

OD PIĘCIU LAT WOJEWÓDZKI OŚRODEK KULTURY (obecnie ROK), przy ul. Ogińskiego w Częstochowie, posiada interesującą salę ekspozycyjną idealnie nadającą się na średniej wielkości wystawy. Wykorzystuje ją z powodzeniem Sławek Jodłowski, który tam właśnie pokazał częstochowskim miłośnikom fotografii wiele interesujących wystaw, że wspomnę tylko o takich artystach, jak: Edward Hartwig, Ryszard Horowitz, Paweł Pierściński czy Krzysztof Hejke. I bez względu na to czy byli to autorzy o dużych nazwiskach, czy zupełnie jeszcze młodzi, przeważnie było ciekawie.

Inną formą działalności tej placówki i jej animatora w dziedzinie fotografii są starania o wpisanie Częstochowy na mapę ogólnopolskich imprez fotograficznych, co niejako nawiązuje do dobrych tradycji z lat 60-tych i 70-tych XX w. Sukces artystyczny tegorocznego, trzeciego już – Cyberfoto – czyli ogólnopolskiego konkursu fotografii komputerowej, potwierdził trafność pomysłu animatora i duże zapotrzebowanie na tego typu imprezę, zorganizowaną na taką skalę po raz pierwszy w kraju.

Kilka miesięcy temu Jodłowski wymyślił Jurajski Salon Fotografii, adresowany do fotografujących zamieszkałych na Śląsku. I chwala mu za to, gdyż z tego co wiem, poza Częstochową, obecnie na Śląsku tylko Rybnik organizuje cykliczne imprezy fotograficzne o charakterze konkursowym. A przecież w tym regionie kiedyś pracowało bardzo aktywnie wiele znakomitości fotograficznych, organizowano z wielkim rozmachem wystawy, także międzynarodowe.

Choć częstochowski Salon dopiero raczkuje, to na jego pierwszą edycję 62 autorów przysłało 625 prac. To zupełnie dobry wynik ilościowy, zważywszy, że impreza obejmowała teren jednego województwa. Poziom artystyczny bardzo zróżnicowany: obok autorów wystawiających w kraju i za granicą, były także debiutanckie „pstryknięcia”. Ale tak to już bywa na początku, że przymruża się jurorskie oko, dla zachęty.

Natomiast za spotkanie jury uważam niedostrzeżenie wśród nagrodzonych prac fotografii częstochowianina Jacka Kamińskiego, M. Giby z Radlina, czy Anny Skowronek z Zabrze. Nie

zmienia to jednak faktu, że na salonowej wystawie było czymś oko nacieszyć, zarówno przy oglądaniu fotografii tradycyjnej, jak też cyfrowej.

Jeśli Salon Jurajski ma spełniać przypisaną mu rolę i zaistnieć na kulturalnej mapie Śląska, moim zdaniem, powinien spełniać następujące warunki:

1. W jury powinien bezwarunkowo zasiadać przynajmniej jeden z fotografików ze Śląska.
2. Wystawę należy otwierać dopiero po zawiadomieniu wszystkich autorów o decyzjach jury oraz przygotowaniu katalogu.
3. Należy podnieść dolną granicę formatu zdjęć – minimum do 18x24 cm.

4. Być może należy ograniczyć liczbę nadsyłanych przez jednego autora prac do np. 5 fotografii, co zmusza do starannejszej selekcji, a organizatorom i komisji oceniającej ułatwia pracę.

5. Z zawiadomieniami o II Salonie należy dotrzeć do ciekawych środowisk twórców, które nie były jeszcze reprezentowane na pierwszej edycji.

6. Kolejne wystawy, po ekspozycji w Częstochowie, powinny być pokazane w innych miastach Śląska.

Sądzę, że mogłem coś jeszcze pominąć, ale jeśli wylałem te parę kropel atramentu, autentycznie – wciąż jeszcze piszę piórem, to wyłącznie dlatego, aby Salon nie pozostał w przedsionku. ■

Pośród najlepszych

Każdy twórca chciałby spróbować swoich sił wśród najlepszych, w najbardziej prestiżowych imprezach, wystawach, ale obawa przed fiaskiem paraliżuje często przed taką konfrontacją. Chyba, że zachęta przychodzi z najmniej oczekiwanej strony. Takiego właśnie zaskakującego gestu doświadczył w minionym roku częstochowski fotografik, Janusz Mielczarek, gdy zupełnie niespodziewanie, na wiosnę otrzymał osobiste zaproszenie do udziału w największym na świecie salonie fotografii artystycznej od jego dyrektora.

Jak do tego doszło? Otóż, dyrektor ów był jednym z jurorów w międzynarodowym konkursie fotograficznym w Portugalii, na który w 1999 roku częstochowianin posłał sondażowo swoje cztery fotografie. Fotografii wprawdzie nie zakwalifikowano na wystawę, ale spodobały się austriackiemu jurorowi, który przysłał do Częstochowy sympatyczny list z osobistym zaproszeniem.

Trzeba w tym miejscu wyjaśnić – na przykładzie roku 2000 – dlaczego Hasselblad Austrian Super Circuit, bo o nim tu mowa, którego dyrektorem jest dr Chris Hinterobermajer, jest największą na świecie konfrontacją fotografii artystycznej. W 2000 roku, na dziewiątą już z kolei jej edycję, swoje fotografie przysłało 3818 autorów ze 120 krajów. Łącznie prac czarno-białych, barwnych i slajdów było 40 712, w tym slajdów 17 440. Duże międzynarodowe salony fotograficzne organizowane pod patronatem FIAP (Międzynarodowej Federacji Sztuki Fotograficznej), czyli wystawy najwyższej rangi, obsyła śre-

dnio od czterystu do tysiąca autorów, przysyłając od tysiąca do kilkunastu tysięcy fotografii, a w wypadku konkursu Nikona nawet ponad dwadzieścia tysięcy.

Skąd więc ten austriacki fenomen? Przede wszystkim wypracowany przez lata prestiż imprezy zachęca do uczestnictwa najlepszych w branży. Zachęcają również nagrody. Główną jest aparat fotograficzny Hasselblad wart ponad 3000 dolarów USA; kolejną – Hasselblad-Panorama o wartości ok. 2000 dolarów. Dochodzi do tego jeszcze 400 (słownie: czterysta) medali organizacji fotograficznych z USA i Europy o różnej barwie kruszcu i innych wyróżnień honorowych oraz... nagrody pieniężne o wartości 30 000 dolarów.

Nic więc dziwnego, że perfekcyjnie zorganizowana impreza fotograficzna o światowym zasięgu, mająca zasobnych sponsorów (mi.in. HP, Telekom, Casinos Austria, Austria Airlines, Hasselblad, Pentax), której towarzyszy dwustopniowy katalog formatu A-4, na najwyższym poziomie edytorskim, przyciąga fotografujących z najdalszych zakątków Ziemi.

Wśród fotografii wybranych do ekspozycji, ocenianych przez cztery międzynarodowe komisje jurorskie znalazło się też pięć prac Janusza Mielczarka. Wystawy fotografii odbywały się w Wiedniu, Linzu, Innsbrucku i Feldkirchen. Pokazy slajdów w Stanach Zjednoczonych oraz w kasydach gry w Niemczech, Austrii i Szwajcarii.

Na karcie informującej o decyzjach jurorów, skierowanej do częstochowskiego fotografa dyrektor Chris Hinterobermaier dopisał odręcznie po angielsku: *Dobra robota, Janusz! Gratuluję debiutu w Austrii. W roku 2001 czekamy na więcej fotografii.*



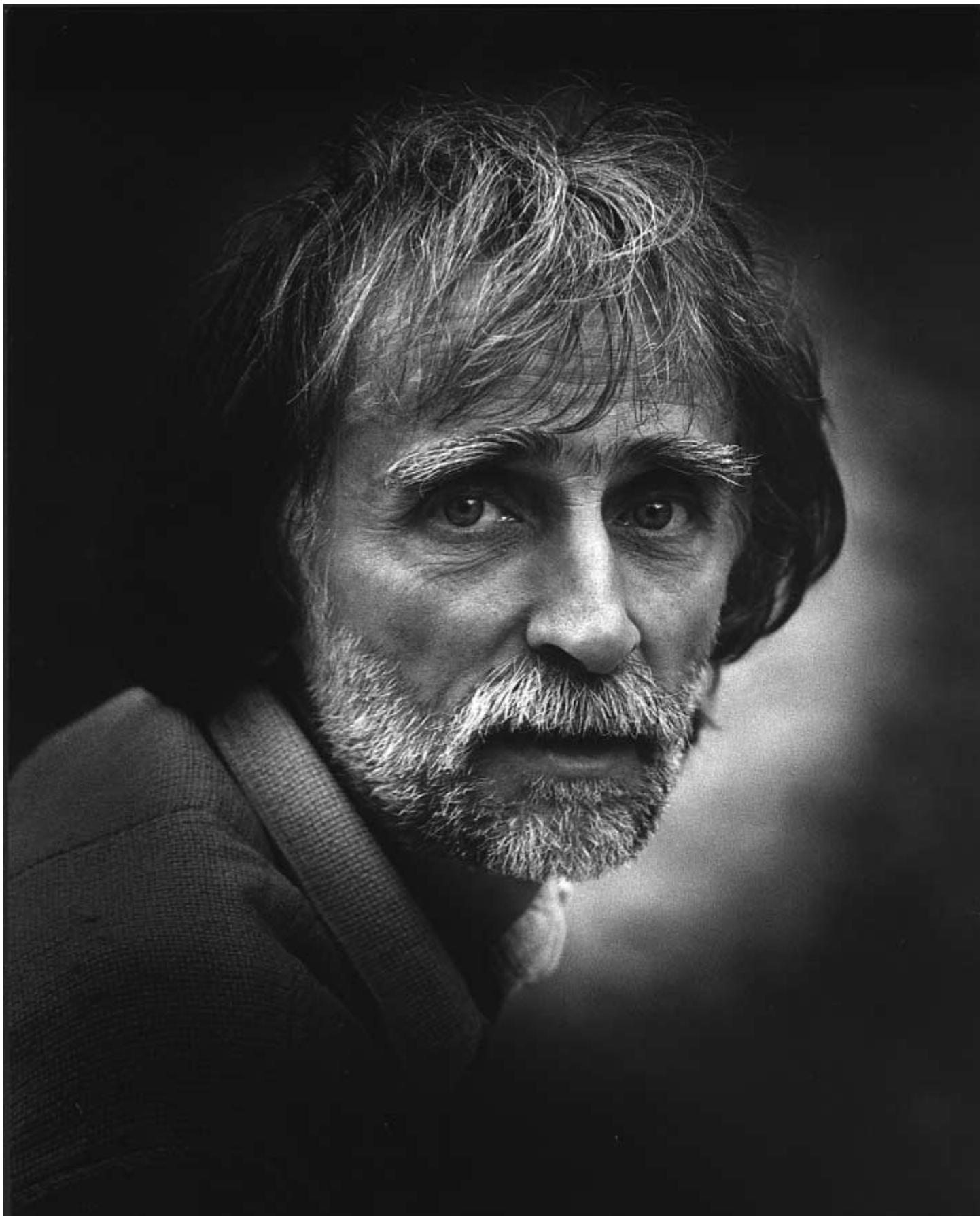
Fotografia eksponowana
na XXXIII Międzynarodowym
Salonie FOTOFORUM 2000
w Ružomberoku (Słowacja).

„Magda”





„Matko, pomóż!”





„Zanim przyjdą drwale” – jedno z pięciu zdjęć Janusza Mielczarka, które wzięły udział w największej wystawie fotografii światowej.